Nr. 22. Warszawa, dnia 16 (28) Maja 1898 r. Rok XVIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 kop. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

Kuba i Hiszpania.

I

We dwa tygodnie po odkryciu archipelagu Bahama błędna wiara podróżnicza Włocha z Genui obdarzała Ferdynanda i Izabellę rozległym lądem śródmorskim, któremu krajowcy dawali nazwę „Kolba,“ przez Hiszpanów przerobioną na „Cuba.“ „Admirał mórz,“ zawijająo d. 27 października 1492 r. do Puerto de Nipe, wierzył, że przybija do „Zipangu“ Florentczyka Toscanellego i wielce się zdziwił, gdy w przystani nie ujrzał okrętów wielkiego chana z Kinsaju. Kiedy w środku listopada opływał wschodni róg wyspy, z piersi jego wydarł się okrzyk: „Tysiąc języków nie wystarczy na godne opiewanie tej cudownej krainy.“ Zanim dopłynął do przylądka Mayci (Maisi), już mu się Japonia zamieniła na stały ląd Azyi, a „Kolba“ na jej wschodnią stolicę, ale sama, rzeczywista wyspa nie przestawała być wspaniałą.

I taką też była. Złota, najdroższego marzenia ludzi z końca XV w. — a może i z końca XIX w. — Kolumb znalazł na Kubie ślady zaledwie; dużych zwierząt, dzikich czy przyswojonych, nie znalazł wcale: za to rozkoszował się pyszną, podzwrotnikową roślinnością i bogatą a piękną fauną powietrzną. Złotem byłby się chętnie podzielił: oddałby je Ferdynandowi i Izabelli na nową wyprawę krzyżową.

Marzenie wieku XV o złocie bez pracy XVI stało się jednem z najjaskrawiej przyświecających ognisk hiszpańskiego rozumu stanu. Los marzeniu temu dał ciało: w Peru znaleziono skarby, zdawało się, nieprzebrane. Jakiem wielkie to szczęście stało się dla Hiszpanii przekleństwem — z dziejów wiadomo. Złoto urobiło najgorszy, najwstrętniejszy typ polityki kolonialnej — rozbójniczy a samobójczy. Ofiarą jego padła wraz z innemi i Kuba, którą linia demarkacyjna z roku 1494 odcięła była dla królestw Aragonu i Kastylii.

Za czwartej wyprawy zhiszpanionego Christobala Colona (w r. 1502) posiadanie wyspy było jeszcze idealnem. Odkrywca nowego świata wierzył jeszcze niezachwianie w jej azyatyckość, a ta wiara była w nim tak silną, że krępowała energię i samą nawet ciekawość; nie pozwoliła mu ona opłynąć Kuby, przekonać się, że ląd nowoodkryty nie jest ani bajecznym Kinsajem wielkiego chana, ani owem tajemniczem Zipangu, które mapa Tascanellego z całą naiwnością nakładała na dzisiejszy Meksyk.

Opłynięcia dokonał dopiero Ocampo w r. 1508. W trzy lata później posiadanie idealne zmateryalizowało się w podbój. Diego Valasquez, gubernator hiszpański, zajął Kubę dla Hiszpanii. Krajowcy pobrzeżni, niewytępieni w boju, pouciekali w głąb wyspy. Kacyka Hatoneja najeźdźca żywcem w ogień wrzucił. Na jęczących popiołach stanęła pierwsza stolica wyspy, S. Jago.

Odwieczni właściciele „cudownej krainy“ ze schronisk swoich napadali na powstające osady, na zapuszczających się w puszcze leśne i podgórza krzewicieli cywilizacyi i ludzkości europejskiej. Pogarszało to ich los straszliwie, chociaż nieraz świetnie się im powodziło. Tak np. Matanzas („rzezie“), na wschód Hawany, jest miejscem pamiątkowem wymordowania białych. W Hiszpanach, przy wielkiej przewadze, od każdej klęski rosła zaciętość. Napróżno biskup Meksyku, Las Casas, do upamiętania się ich nawoływał. Następca Velasqueza, Hernando Soto, dokonał zagłady, wytępił ostatnie szczątki; w r. 1560 nie było już na Kubie ani jednego „Indyanina.“ Wyludniwszy, zaczęto zaludniać. Już w roku śmierci Velasqueza (1524) rozpoczęło się sprowadzanie murzynów (*morenos*), którzy jako świeży jeszcze towar odtąd aż do końca niewolnictwa nosili nazwę *bozales*.

Ale natura drwi sobie z człowieczych sztuczek ciemięstwa. Gdy zbrakło czerwonoskórego, czarny stał się krajowcem na Kubie. Hiszpan pozostał, kim był: najeźdźcą, przybyszem. Jego żółta febra zmiatała; murzyn się jej nie dawał. Z białych ten tylko był odpornym, kto się już na wyspie urodził: a takich Kreolów z *sangre azul* („krew błękitna“) nie wielu się rodziło. Gubernator, choć miał władzę i siłę, nie mógł przecież wykrajać najmniejszego kawałka kraju macierzystego i przenieść na Kubę; przez miłość, rozpustę i małżeństwo krew kreolo-hiszpańska mieszała się z murzyńską, dając początek rasie mulatów (*pardos*). Przybyli do nich *mestizi* z Indyan; przy wielkiem znaczeniu wyspy dla handlu tranzytowego, jak w całej Ameryce, tak i na Kubie powytwarzało się wiele nowych postaci antropologicznych: *casco* (z mulatów), *cubra* (z murzyna i mulatki), *zambo* (z murzyna i indyanki), *zambo-murzyn* i wiele innych, różniczkujących się przez pokolenia.

Wytworzyła się z tego wszystkiego spodnia warstwa społeczeństwa — lud. Na wierzchu leżał pokład z krwi błękitnej, rodzimej hiszpańskiej i kreolskiej. On tylko wydawał z siebie właścicieli ziemi i żołnierzy. Rodowici Hiszpanie nie dali sobie aż do naszych czasów wydrzeć monopolu władzy. Klasy niższe słuchały wyższych, pracowały na nie, i według ich obrządku marły i szły pod łopatę grabarza. Z uciskiem świeckim łączył się duchowny; bigoterya, nietolerancya i wyzysk wyznaniowy dopełniał niedoli. Po miastach rękodzieła były wolne: tu mogła zabrzmieć pieśń wesoła, na wsiach, na plantacyach

świstał bicz latifondyów, ergastulów i wychowywał całe pokolenia niewolników. Bez tego pedagoga nie umiałby Hiszpan naturalnego bogactwa wyspy, fizycznej siły i społecznej niemocy murzyna na złoto przetwarzać.

Rozwój był barozo powolny: ludność nie mnożyła się, zaledwie cztery odsetki obszaru, później sześć, stało pod uprawą. Prócz febry od samego początku gnębiło osady na pomorzu filibustierstwo, rozkwitłe szczególniej w XVII w. Hawana, do której w 1560 r. przeniesiono stolicę, w r. 1584 obwarowana, w 1604 uległa złupieni. Anglicy zaczęli zaglądać na pomorze już w r. 1542. W r. 1585 napadł na Hawanę Drake. W latach 1621, 23, 38 ponowiły się te napaści. Apetytu angielskiego nie zaspokoiła nawet Jamaika. Napaść powtórzyła się w r. 1668, a w jedenaście lat później zjawili się i Francuzi. Odpieranie tych napadów wyczerpywało siły.

W r. 1633 otrzymała Kuba stałego gubernatora, z władzą wobec rządzonych prawie nieograniczoną. W r. 1777 zastąpił go generał-kapitan na modłę hiszpańską. Obowiązkiem tak jednego jak drugiego było opiekowanie się Hiszpanami, ich losem, mieniem, zyskami, a jako środek do celu—trzymanie ludu roboczego w karności. Wyższym urzędnikiem mógł być tylko Hiszpan rodowity, jemu tylko wolno było prowadzić handel z Hiszpanią i z krajami obcymi. W innych też zakresach życia był on benjaminkiem gubernatora i Madrytu. Zwolna wyrodziła się w kreolach niechęć i cały wiek XVIII upłynął na drobnych, bez powstań, ale ustawicznych, niesnaskach.

Zwyczajem owych wieków merkantylizmu od samego początku zewnętrzny handel Kuby miała prawo prowadzić jedynie metropola na własnych okrętach. Kreol mógł być tylko dostarczycielem towaru. Niechęć, wszczepiana przez prawodawstwo i administracyę, wzrosła jeszcze po zaprowadzeniu w r. 1717 monopolu na tytoń. Potrzeba było aż Anglików, aby Hiszpanie ocknęli się i przejrzeli. Anglicy dali im dobrą naukę. Na początku sierpnia 1762 r. Albermarle i Pockoke oblegli Hawanę, a d. 13 t. m. wzięli ją przez kapitulacyę. Władza angielska rozpostarła się na całą wyspę; najpierwszym jej czynem było ogłoszenie wolności handlu.

Pokój w Paryżu zwrócił Hiszpanii Kubę za Florydę; w końcu r. 1763 nie było już Anglików, a we dwa lata potem rząd madrycki nadawał już prawo handlowania z Hiszpanią na własny rachunek dwu głównym miastom: Hawanie i S. Jago. Od r. 1783 wolno im już było handlować z zagranicą. Hawana stała się wielkiem targowiskiem na niewolników, którzy stąd szli i na północ, do St. Zjednoczonych.

Dopiero w r. 1818 na całej już wyspie spadły okowy z handlu. Na dwa lata przedtem ustał monopol tytuniowy. Już wtedy Kuba przebyła silne wstrząśnienie wewnętrzne. Jednocześnie z ruchem demokratycznym w samej Hiszpanii, drgnęli murzyni, zażądali swobód i kreole. Od r. 1812—20 deputowani wyspy zasiadali w kortezach madryckich. Powstanie murzynów w r. 1812 pod Apuntem, z charakterem socyalistycznym, sposoczyło ziemię krwią, ale ta krew przyniosła ulgi: za 500 wielkich *pesos* (dolar) mógł się murzyn wykupić, a matka, składająca 30 *pesos* za dziecko nowonarodzone, zapewniała mu wolność od pewnego wieku. Obwarowano też wówczas i sprawiedliwość policyjną i kryminalną od krzyczących gwałtów. W r. 1817 zobowiązała się Hiszpania względem Anglii znieść handel niewolnikami, a choć dostała za to *douceur* z 10 mil. *posetas* (frank), nieuczciwie nmowę obchodziła, tolerując bezprawie.

Reakcya 1820 r. nie powstrzymała kreolów w zapędach do wolności politycznej. Po ich klasowych spiskach 1823 i 1826 związek Czarnego Orła sięgnął już we wszystkie warstwy społeczne; wykryty w r. 1828, zaludnił więzienia i dał dużo roboty katom.

Tydzień polityczny. Dawno już nie zabrzmiał w Anglii głos tak głęboko przenikający do jej rozumu stanu, zmysłu politycznego i zachowawczego instynktu, jak ten, którym Chamberlain przykuł uwagę unionistów w Birmingham d. 13 b. m. Od wojny krymskiej — mówił — Anglia nie miała nawet przyjaciół. Dziś grozi jej koalicya. Powinna zwrócić się do Stanów Zjednoczonych. Równie jak i Anglia pragną one pokoju świata, który na serdeczności stosunków obu pokrewnych sobie narodów tylko zyskać może. Nawet wojna nie byłaby zbyt drogą ceną unii anglo-saksońskiej. Nareszcie nauczono się przyjaźniejszem patrzeć na siebie okiem, a jest to zasługą Salisburego. Twierdzą, jakoby Anglia od innych mocarstw doznała na całej kuli ziemskiej poniżenia. Tak źle nie jest. Energia w Armenii czy na Krecie byłaby wywołała wojnę, a ani tam, ani tu gra nie warta byłaby świecy. W Chinach przyszłość poważna. Wojna z Japonią pokazała zupełną ruinę olbrzyma. Jasnem się stało, że bez obcej pomocy znajdą się Chiny na łasce swego sąsiada od północy, ale poprzednie ministeryum (Gladstone—Rosebery) widzieć tego nie chciało. Anglia za niego nie przystąpiła nawet do koalicyi Rosyi, Francyi i Niemiec. Wiadome wypadki były nieuchronnym skutkiem takiego zaniedbania, a nowe grożą w przyszłości. Dla odwrócenia ich to właśnie wydaje Chamberlain hasło: „Ze Stanami Zjednoczonymi!“

Nie wszystko w tej mowie jest szczerą prawdą i słuszną krytyką. Sprawy Anglii na wodach chińskich wikłają się przez wojnę Stanów Zjednoczonych z Hiszpanią; rozwikłać je może z pożytkiem, dotychczas nieznanym, tylko porozumienie się dawnej macierzy z krnąbrną z pod władzy jej wyzwoloną córą. Zanosi się na przyjaźń francusko-hiszpańską. Już dzienniki jednej strony układają się z gazetami drugiej o Filipiny, a właśnie na oceanie dotykającym do Chin jest to stanowisko wielkiego znaczenia. Ta jedna już sprawa wystarczyłaby do zadzierzgnięcia węzłów, a ileż ich jutro przynieść już może! Naturalny rozwój przymierza w wielkim stylu ogarnąć-by musiał i Japonię.

We Francyi wybory uzupełniające d. 22 b. m. zostawiły monarcho-republikanom rządowym kilka tylko, może dziesięć, głosów przewagi. Przewidują podanie się Méline'a do dymisyi. Proces Zoli odroczony aż do rozstrzygnięcia kasacyi o kompetencyi sądu wersalskiego.

Delegacya wiedeńska w sprawozdaniu **Falka** nie tak radośnie jak przedlitawska przyjęła wezwanie p. Gołuchowskiego do okazania energii przemysłowej i kupieckiej na rynkach wszechświatowych.

---

54)

W. DOROSZEWICZ.

SACHALIN.

Teatr katorgi.

Rozlepiono na wszystkich słupach i rogach afisze, obwieszczające, że „w teatrze Ławarowa z upoważnienia władzy w niedzielę wielkanocną dane będą przedstawienia ranne i wieczorne.“

Przy małej, na prędce skleconej budzie stoi smutny przedsiębiorca — piekarz miejscowy, Ławrow.

Nieboraka spotkał ten sam los, co i jego współbraci — bankrutuje.

Oczekiwał poparcia „inteligencyi,“ pozbawionej, prócz kart i wódki, wszelkich rozrywek. Ale „inteligencya“ naturalnie nie poszła do teatru „katorżnego.“

Do jakiego stopnia „inteligencya“ miejscowa stara się unikać katorgi, świadczy choćby fakt następujący: Naczelnik okręgu użalał się przede mną, że większość inteligencyi nie chciała się zapisać na liście abonentów powstającej czytelni, dlatego, że abonentami mogą być także katorżnicy. Boją się, nieboracy, ażeby ich w jakikolwiek sposób nie zmieszano z przestępcami!...

* *

Moje pierwsze odwiedzenie teatru było niefortunne.

Siła przyciągająca widowiska, „Notatki waryata,“ nie weszły na scenę z przyczyn niezwykłych w historyi teatru:

— „Ponieważ artystę Sokolskiego zamknięto w turmie kajdanowej“ — oznajmiono ze sceny.

Za to dnia następnego widowisko udało się świetnie.

Artysta Sokolski nie pił i nie dostał się do „kajdanowej.“

Z powodu święta teatr był pełny.

Artyści wytężali wszystkie siły, ażeby się popisać przed „literatem.“

Umyślnie dla mnie wybrano piosnki nie zwykłe, lecz wyłącznie więzienne. Stworzono nawet kuplety na cześć mego przyjazdu. Ale władza, dowiedziawszy się o tem, zawczasu zabroniła.

Ściany teatru ubrano gałązkami jodłowemi. Scena bez podłogi, oddzielona zasłoną z brudnej szmaty.

Godzina piąta wieczorem. Teatr pełny. Na galeryi wrzawa. Skupili się tam osiedleńcy ze swemi towarzyszkami.

Za zasłoną śpiewacy ciągną smutną, ponurą pieśń włóczęgów syberyjskich: „Litościwi nasi ojcowie, litościwe nasze matki. Dopomóżcie nam nieszczęśliwym. Cierpiącym w wielkiej niedoli. Przynoście w imię Chrystusa co możecie tutaj dla biednych podróżnych, włóczęgów. Pomóżcie! Złoty wieniec nagrodą będzie waszą na tamtym świecie, a w życiu doczesnem wspominać o was w więzieniach będziemy.“ *)

Piosnka urywa się na długiej, smutnej nucie. Zasłona się podnosi, widowisko zaczęte.

Najpierw scena: „Znowu Piotr syn Iwana.“

Z po za brudnej szmaty, wyobrażającej kulisy, wychodzi tradycyjny „Pietruszka“ — Wańka - Ru-tiu-tiu, jak go nazywają w Odesie.

Przebiegły, figlarz zawadyaka — na-

---

*) Jest to zmieniona w treści (może i w melodyi) pieśń „Miłosierna,“ śpiewana w pochodzie etapowym przez skazańców, zbierających jałmużnę. Treść jej według Maksimowa („Syberya i ciężkie roboty“) jest taka:

„Litościwi nasi ojcowie, pamiętajcie o nas, niewolnikach zamkniętych — na miłość Chrystusa! Dajcie nam jeść, ojcowie, nakarmcie nas biednych, uwięzionych! Ulitujcie się, nasi ojcowie, ulitujcie się nasze matki nad uwięzionymi, na miłość Chrystusa! Siedzimy w niewoli; w niewoli i więzieniach murowanych, za kratami za żelaznemi, za drzwiami za dębowemi, za kłódkami za wiszącemi. Rozstaliśmy się z ojcem i matką, z całą rodziną, ze swoimi.“ *(Przyp. tłomacza).*

D. 19 b. m. zmarł w Hawarden Gladstone. Pogrzeb w d. 28 b. m. Rodzina królewska trzymać będzie sznury od baldachimu z ks. Walii na czele. Państwo pochowa wielkiego starca swoim kosztem w Westminsterze. Dobrze sobie zejście takie życiem wysłużył: jedna z najszlachetniejszych natur ludzkich.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

MEMORYAŁ W SPRAWACH SZPITALNYCH.

Ujawnienie publiczne dotkliwych braków w gospodarce szpitalów warszawskich („Potrzeby szpitalnictwa“ dr. Nosocomialis), wywołało bardzo pomyślny skutek: Rada miejska dobroczynności publicznej stworzyła komisyę, przeważnie z lekarzy, która już zbadała sprawę i zamknęła wyniki swojej pracy w obszernym memoryale. Przedewszystkiem wzięto pod uwagę brak niezbędnej liczby łóżek i podano wyliczenia następujące: Wszystkie szpitale powinny posiadać 2,600 łóżek. Dziś jest ich zaledwie 1,845. Po ukończeniu szpitala Dzieciątka Jezus, po rozszerzeniu Praskiego, Żydowskiego, Zapasowego i Wolskiego, liczba ta urośnie do 2,190 łóżek dla wszelkiego rodzaju chorób, z wyjątkiem dziecięcych i umysłowych. W stosunku do ludności Warszawy oraz do normy istniejącej w innych wielkich miastach, nawet według powyższego rachunku zwiększona liczba łóżek będzie jeszcze zbyt małą, przypadać bowiem będzie jedno na 300 mieszkańców (za cztery lata, po ukończeniu budowy szpitala Dzieciątka Jezus). Chcąc podnieść liczbę do normy, istniejącej w innych wielkich miastach, należałoby tylko na samą budowę pomieszczeń szpitalnych wydać przeszło milion rubli, nie mówiąc już o stałem utrzymaniu tych zakładów.

Komisya stara się rozstrzygnąć tę kwestyę następującym wnioskiem: „Petersburg i Wiedeń posiadają jedno łóżko na 230 mieszkańców; w Wiedniu stosunek ten wystarcza. Warszawa pod względem warunków klimatycznych znajduje się w lepszem, niż Petersburg położeniu, a choć nieco w gorszem od Wiednia, jednakże komisya uważa za możebne ograniczyć się, jak na teraz, takiem powiększeniem, aby jedno łóżko wypadało na 200 mieszkańców. Tym sposobem usunięta będzie krzycząca potrzeba pomieszczeń szpitalnych.“

Czy można brać pod uwagę tylko warunki klimatyczne? Należałoby porównać społeczne, ekonomiczne i kulturalne, które olbrzymie znaczenie mają w zdrowotności i hygienie publicznej. Co zaś do normy, istniejącej w innych wielkich miastach, nic można uważać jej za idealną. W Berlinie wypada jedno łóżko na 186 mieszkańców, w innych miastach— jedno na 200. Nie jest to zbyt dużo w stosunku do ludności. Ale gdyby nawet było dostatecznie, to nie zapominajmy, że liczba wystarczająca np. w Berlinie, dla nas może być zupełnie małą, gdyż Berlin znacznie wyżej stoi od Warszawy pod względem zdrowotnym; ludność zaś, zarówno w Berlinie, jak i wszelkich innych miastach Europy zachodniej, korzystając z praw wyższej kultury, pobiera większe zarobki, lepiej się odżywia, wygodniej mieszka i wogóle posługuje się takiemi urządzeniami zdrowotnemi, jakich my wcale nie posiadamy. Ludność tedy miast Europy zachodniej jest oporniejszą na choroby.

Komisya, rozpatrując sprawę łóżek, przyszła do przekonania, że wielkim ciężarem dla szpitalów warszawskich są chorzy chronicznie i cierpiący na uwiąd starczy. Kategorya ta stanowi około 12% ogólnej liczby chorych i zajmuje około 200 łóżek. Otóż zaproponowano z 410 łóżek, które przybędą w szpitalach, przeznaczyć 200 dla chorych chronicznie i starców oraz umieścić je w nowym przytułku specyalnym. Wogóle propozycye komisyi w tej mierze noszą charakter jakiejś tymczasowości, nieprowadzącej do należytego rozwiązania sprawy.

Większą stanowczość widzimy we wnioskach, dotyczących źródła dochodów na utrzymanie. Obecnie koszt utrzymania chorego w szpitalach warszawskich wynosi 65 kop. dziennie. W miastach zagranicznych dzień szpitalny kosztuje od 2 do 2 rs. 50 kop.; w Petersburgu i Moskwie od 90 kop. do rubla i więcej. Zdaniem komisyi, w Warszawie należałoby normę podnieść do rubla. Nie wiemy, na jakiej podstawie jest oparte to obliczenie. W każdym razie nie należałoby go regulować według norm przyjętych w innych miastach, lecz tylko stosownie do cen, panujących na rynkach miejscowych.

Dni szpitalnych na jedno łóżko wypada przeciętnie 300, a więc koszt roczny utrzymania 2,600 łóżek uczyni 780,000 rs. Zdobycie takiej stałej sumy corocznie nie należy do zadań łatwych. Dochody obecne są następujące: z majątków nieruchomych i kapitałów 88,000 rs. Zapomogi: od magistratu, gminy starozakonnych i kontroli służących — około 90,000 rs. Z opłat za leczenie w szpitalach — około 100,000 rs Z podatku szpitalnego około 170,000. Ogółem 450,000 rs. Jest jeszcze jedna pozycya dochodu, stosunkowo nieznaczna i dlatego nie wzięto jej w rachubę: podatek 5 i 10-kopiejkowy od biletów teatralnych, rs. 41,000 rocznie, z czego połowa idzie na Czerwony Krzyż i inne wydatki. Jeżeli i tę kwotę doliczymy, brak jeszcze będzie 310,000 rs. do uzupełnienia cyfry, przyjętej przez komisyę. W celu zwiększenia dochodów podaje ona trzy sposoby: Opodatkowanie wszystkich mieszkańców miasta, z wyjątkiem małoletnich do 17 roku życia. Po odliczeniu owej kategoryi tudzież wojskowych, dochód z tego źródła przyniesie 370,000 rs. Jeżeli zaś podatek ściągany będzie i od przyjezdnych, ba-

---

wet biedny Wańka, dostawszy się do katorgi, „zsachaliniał.“

Wszędzie, w całej Rosyi, od Archangielska do Kerczu, od Władywostoka do Petersburga, on wciąż matactwa, niegodziwości popełnia; kupuje i nie płaci, urządza bójki i okpiwa rewirowego.

Na scenie jest ojcobójcą.

To już nie wesoły „Wańka Ru-tiu-tiu“ Rosyi swobodnej. To ponury bohater katorgi.

Z za kulis wychodzi starzec, jego ojciec:

— Dawaj, synku, pieniądze!

— A dużo ci trzeba? — pyta głosem piskliwym Wańka Ru-tiu-tiu.

— Dwadzieścia! Masz ci! Bierz!

Z rozmachem uderza ojca kijem w głowę.

— Raz — dwa — trzy — cztery! — liczy Wańka Ru-tiu-tiu.

Starzec pada i zwiesza się przez kulisy.

„Ru-tiu-tiu“ nie przestaje bić leżącego.

— Przecież zabiłeś go! — daje się słyszeć za kulisami głos „gospodarza.“

— Po co kupiłem? — dowcipkuje Ru-tiu-tiu i budzi śmiech całego audytoryum.

— Nie kupiłeś, lecz zabiłeś! — woła gospodarz; przecież on nie żyje!

— Tatusiu, wstawaj! — woła Wańka z towarzyszeniem nieustającego śmiechu publiczności — wstawaj! Czas do roboty!

— Przecież zabiłem go! — mówi nareszcie Wańka Ru-tiu-tiu i nagle zaczyna „wyć głośno,“ jak we wsiach zawodzą baby po nieboszczykach:

— Rodzony ty mój ojcze-ee! Cóż ja teraz pocznę sam, biedny-y-y! Zostałem teraz jeden jedyny-y, sierota-a!

Publiczność wpada w entuzyazm.

Wycie w całym teatrze, stukanie nogami. Piskliwy śmiech kobiecy zlewa się z donośnym męzkim.

Przykro!...

Scena kończy się na tem, że przychodzi policyant i — Wańkę Ru-tiu-tiu wysyłają na Sachalin.

Żegnaj nam Odeso,
Wspaniała przystani;
Hen aż na Sachalin
Jedziemy wygnani...

śpiewa Wańka Ru-tiu-tiu.

— Wybornie! — krzyczy publiczność.

— *Bis!* — wrzeszczy jakiś podpiły osiedleniec.

Człowiek „wykształcony,“ w antraktach głośno się chwali, że uczęszczał do „Skoromochy-teatru“ w Moskwie i zna wszelkie komedye.

„Bis“ woła specyalnie dla mnie, ażeby zwrócić uwagę na swoje wykształcenie.

Numery, coraz większą furorę budzące, idą po sobie.

Włóczęga Fedorow w pstrem ubraniu— coś w rodzaju kostiumu arlekina — śpiewa kuplety na nutę z Boccacio: „Nie moja w tem wina.“

Fedorow służył niegdyś przy teatrze, był fryzyerem teatralnym.

Śpiewa nie fałszywie, bez akompaniamentu i porusza sprawy życia miejscowego. Mówi o „bałandzie,“ której nie jedzą nawet świnie, o „kotach,“ które trzeba nie na nogach, lecz w rękach nosić, o kapocie pękającej na szwach itd.

Powodzenie jego wzmaga się coraz bardziej. Powtarza nieustannie, a po każdym kuplecie widz wykształcony woła:

— „Bis!“

Fedorow promienieje, kłania się na wszystkie strony, przyciska obie ręce do serca.

Zasłonę znowu podnoszą. Na scenie trzy zsunięte taborety.

Sokolski, który wczoraj siedział w kajdanowej, ubrany w kapotę aresztancką, wygłasza ze sceny „Notatki waryata.“

Co to jest? W tym kącie przez Boga zapomnianym a przez ludzi przeklętym, oczułem powiew czegoś dalekiego, niemiejscowego...

Ze „sceny katorżnej“ szło tchnienie sztuki prawdziwej. Ten „włóczęga“ widocznie lubił niegdyś sztukę, interesował się nią. W jego grze widać nietylko talent, lecz i znajomość sceny. Widział dobrych wykonawców i wybornie ich naśladuje.

Mówi gorąco, z ogniem, daje się pory-

wiących w mieście dłużej, niż trzy dni, suma ta urośnie do 470,000 rs. Ale jednocześnie, skutkiem opodatkowania wszystkich mieszkańców, dochód za leczenie w szpitalach zmniejszy się o 50,000. Ogółem tedy, po zastosowaniu powyższego środka, dochód szpitalny wyniósłby 698,000 rs. Na pokrycie braku, 80,000 rs., komisya proponuje zwiększenie podatku szpitalnego do 1 rs. 20 kop. od osoby. Cały ten projekt nie da się urzeczywistnić bez ciężkiego obarczenia ludności ubogiej. Sama komisya zaznacza, że pobieranie podatku (chociaż dotychczas w mniejszej kwocie) było niewłaściwo, jak wykazała praktyka trzyletnia. Ściągany z całej ludności, a więc i warstw najuboższych, „spotykać zawsze będzie silny opór i ciągłe uchylanie się od opłaty.“

Właściwszym tedy byłby drugi sposób: podatek proporcyonalny do opłat za wodę, razem pobierany. W takiej postaci obarczyłby on przeważnie warstwy zamożne i dałby więcej, niż potrzeba, według obliczeń komisyi, a co ważniejsza, nie byłby ciężarem dla ludności ubogiej.

Trzeci wreszcie sposób łączy dwa poprzednie. Zatrzymanie podatku szpitalnego w postaci dotychczasowej i uzupełnienie sumy brakującej przez dodatek dopłaty za wodę.

Projekty powyższe nie rozstrzygają całkowicie sprawy wzmocnienia pomocy szpitalnej do tego stopnia, azeby ona odpowiadała najpilniejszym potrzebom ludności. Rzecz dziwna, że od tak ważnych zadań uchyla się zarząd miasta. Rozszerzenie szpitalów należy do spraw bardzo palących, a chociażby istotnie trzeba było na to miliona rubli lub nawet więcej, magistrat powinien o to się postarać bądź drogą zmniejszenia innych mniej pilnych wydatków, bądź za pośrednictwem pożyczki. Przecież instytucya tak poważna, jak zarząd miasta, liczącego przeszło 600,000 mieszkańców, daje bankom chyba zupełną rękojmię bezpieczeństwa.

Z NIEMIEC.

Berlin, 24 maja.

Są jeszcze sędziowie w Berlinie! Jeśli wśród rożnobarwnej rzeszy, obsługującej biura ogłoszeń i stręczeń, które zwykło się nazywać redakcyami gazet, nie znalazł się ani jeden mąż o prawym charakterze i nieskażonem sumieniu, co nazwałby po imieniu ostatni okólnik antipolski pruskiego ministeryum stanu; jeśli najwyżej tu i owdzie rozległ się cichy pomruk jedynie, aby nie sprzeniewierzyć się staremu nałogowi ryczałtowego nicowania i gderania, to za to istnieje w Niemczech etyka! Ona niegdyś obwieściła światu, iż w najwyższy zachwyt wprawia ją „gwiaździste niebo nad nami i prawo moralne w nas.“ Ona chciała wpoić w ludzi przekonanie, iż należy hołdować prawom moralności, nawet kiedy są niewykonalne. Ona zamierzała wznieść się po nad brudy i podłości życia i zbudować w sercach ludzkich królestwo boże. Ta etyka więc powinna była wśród zarazy szowinistycznej zabrać głos niezależny i rzucić zarówno możnowładcom, jak tłumowi, nielitościwą prawdę w oczy. Lecz któż są ci przedstawiciele etyki niezależnej? Czyż nie mandarynowie, posiadacze synekur, zwanych katedrami? Już w roku przeszłym 816 profesorów niemieckich wydrukowało w wiedeńskiej *Neue freie Presse* protest przeciwko „prześladowaniom“ Niemców austryackich, a w liczbie podpisanych figurowały takie powagi, jak Virchow, Bücher, Nathorp, Haeckel, Wundt i Kuno Fischer. Po tem wysoce nietaktownem, nielogicznem i haniebnem wystąpieniu, nauka niemiecka przyglądała się obojętnie obławom, urządzanym na Polaków, a za przykładem swych sióstr i etyka zatopiła się w studyach; zamiast stosować swe oderwane wywody do przykładu żywego, istniejącego przed oczyma naszemi, zachowała się ona słowem tak, jak niegdyś czasów Bismarcka. (Patrz o tem Włodzimierza Wysockiego „Gawędę wesołą w dni słotne do czytania nader pożyteczną,“ *Prawda*, 1887). Etyka niemiecka ocknęła się ze swej apatyi dopiero pod wpływem listu, wystosowanego przez znanego i u nas prof. Höffdinga z Kopenhagi do *Kultury etycznej*, pisma poświęconego propagandzie zasad moralnych w życiu społecznem.

Prof. Höffding wyraził swe zdanie, że nikt nie zwrócił uwagi na to, jak wysoce niemoralną jest chęć wykorzenienia z serca dziecka jego przywiązania do języka ojczystego. W Szlezwigu - Holsztynie, gdzie większość ludności stanowią Duńczycy, rząd nie uznaje obowiązkowości języka duńskiego w szkołach. Nawet dzieciom szkolnym, bawiącym się na skwerach, wzbroniono surowo używania mowy ojczystej. Nauczycielom prywatnym zakazano udzielać lekcyj duńskiego, a każde wykroczenie przeciwko odnośnym przepisom karane jest w sposób drakoński, jako zdrada stanu. Prof. Höffding zaznaczył takie praktyki stosowane w Alzacyi względem francuzczyzny, lecz dziwnym trafem nie potrącił o bardziej gorszące objawy tego rodzaju we wschodnich prowincyach Prus. Tu napotkałby cały system prześladowań, rozwinięty w szczegółach i doprowadzony do najsubtelniejszych wyników. Na protest odpowiedział prof. Standinger. Przyznał on racyę Höffdingowi co do moralnej naganności tępienia języka narodowego żywiołów obcoplemiennych; na tym punkcie powinno nastąpić równouprawnienie. Tolerancya atoli, posunięta jeszcze dalej, równałaby się uprzywilejowaniu. Jeśli bowiem w żadnej szkole niemieckiej — ciągnie swój wątek medytacyj bakałarz etyki — nie wykładają w gwarze prowincyonalnej, jeśli starannie przestrzega się jednolitość języka, wykładanego wbrew roszczeniom żargonów miejscowych, mających nawet swą własną literaturę, to nie sposób tem bardziej uwzględnić roszczeń języka polskiego, duńskiego lub francuskiego. Zbytecznem byłoby poddawać krytyce porównanie, którego bezsensowność rzuca się odrazu w oczy. Żaden bowiem z filologów na świecie nie odkrył dotychczas, iż pomiędzy mową polską a językiem niemieckim zachodzi ten sam stosunek, co pomiędzy dyalektem miejscowym a językiem literackim, książkowym. Szkoły, stojące na straży czystości języka, usuwają wszelkie dyalekty bez wyjątku, zarówno berliński, jak saski i bawarski; żadna więc z odmian nie otrzymuje pierwszeństwa i zrzeka się swych praw na korzyść języka, przyjętego w literaturze. Jeśli zgodzi-

---

wać. Znać było duszę w tym świecie ludzi, zatraconych pod szaremi kapotami.

Sokolski ma twarz iście aktorską, nerwową, ruchliwą, wyrazistą.

Jest epileptykiem i podczas napadu odgryzł sobie koniec języka; skutkiem tego trochę szepleni. To właśnie przypomina nieco nieboszczyka Andrejewa-Burlaka.

W „Notatkach waryata“ został tylko jeden frazes Gogola:

„A czy wiecie, że dej algierski ma pod samym nosem brodawkę?“

Po za tem cała treść — to improwizacya, miejscami z cechą talentu, miejscami z solą satyry.

To Popryszczyn—katorżnik, oczekujący śmierci, jak zbawienia.

W jego monologu mnóstwo napomknień o więzieniu miejscowem. Ponieważ jestem już obeznany z jego tajemnicami, więc wiem, o którym doktorze jest mowa, kogo należy dopatrywać pod nazwą odpowiednią.

Uwagi te wywołują śmiech zadowolenia śród publiczności. W zupełny zaś zachwyt wpada ona wtedy, gdy Sokolski, mówiąc nerwowo, gorąco, wzrusza się widocznie i zaczyna krzyczeć, uderzając pięścią w stół:

— Zabijcie mię! Zabijcie lepiej a nie męczcie! Nie męczcie!

— „Bić“ go! — krzyczy nieustannie widz „wykształcony.“

I cała publiczność oklaskuje, zdaje się więcej głośny krzyk człowieka, uderzenia pięścią w stół, niż słowa i ton tragiczny.

Smutne wrażenie, sprawione przez „Notatki waryata,“ pierzchają pod wpływem następnych scen: „W starym piecu dyabeł pali.“

Jest to improwizacya. Pełen werwy, humoru i prawdy obraz z życia osiedleńców.

Osadnik z długą, białą brodą lnianą w rozmaity sposób wyraża sympatyę dla swojej „towarzyszki życia.“

— „Kulaszo! Połóż się! Usiądź! Kulaszo, nie utrudzaj swych nóżek.“

Kulasza kaprysi, wypowiada różne życzenia i wreszcie żąda, ażeby towarzysz tańczył w „prysiudy.“

Starzec puszcza się w pląsy.

Śród publiczności siedzące Kulasze śmieją się.

Osiedleńcy tylko kręcą głowami. Katorżnicy wypowiadają dosadne słowa.

Wtem zjawia się stara kobieta, legalna, która dobrowolnie przyjechała do męża i miotłą wypędza „Kulaszę.“

Ta zaś siada na barki starca i ucieka z nim od żony legalnej.

Tak się kończy owa komedya — prawie „tragedya.“

Teraz zakończenie widowiska: sztuka p. t. „Zbieg-katorżnik,“ stworzona w więzieniu przez katorgę. Jest to ulubiony utwór skazańców. Żadne widowisko dla katorżników nie może się obyć bez tej sztuki.

Przechodzi ona z więzienia do więzienia, od jednej zmiany skazańców do drugiej. W każdem więzieniu jest człowiek, który umie ją na pamięć. Od niego artyści uczą się swych ról.

Akt pierwszy.

W głębi sceny wiszą jakieś szmaty. Na prawo i lewo niewielkie kulisy, wyobrażające piec i okno.

Ale publiczność nie jest wymagająca i chętnie przyjmuje to za las.

Scena przedstawia ciężkie roboty.

Trzej skazańcy, którzy mają wyobrażać całą rzeszę, kopią ziemię.

Bohater sztuki, nie wiadomo dlaczego architekt, Bazyli syn Iwana Sanin, siedzi na uboczu w głębokiem zamyśleniu.

— Cóż tak leniwie robicie? Dyabli, hultaje! Czas już „lekcyę“ kończyć! — dochodzi głos dozorcy z za kulis.

Na odgłos dzwonka skazańcy idą do więzienia.

— Chodźmy balandę jeść! Czegóż siedzisz? — mówią do Bazylego syna Iwana.

— Zaraz! Idźcie, ja was dopędzę! — odpowiada.

(C. d. n.).

my się na wykręt prof. Standingera, to Szwajcarya właściwie powinna byłaby polecić jakiejkolwiek akademii umiejętności, aby wskazała język, którego dyalektami są niemiecki, francuski i włoski i odnośny zlepek filologiczny zaprowadzić u siebie w szkołach.

Obszerniej oświetlił z punktu widzenia etycznego antipolski ruch w tem samem czasopiśmie dr. Jastrow, znany docent wszechnicy berlińskiej, którego spotkała niełaska Allaha—Stumma i jego proroka, ministra Bossego. I ten atoli względnie sympatyczny mąż nauki nie zdołał wyłamać się z pod powszechnej hypnozy szowinistycznej. Przyoblekł on w szatę naukową to, co inni opierają wyraźnie na brutalnej zasadzie „siła przed prawem.“ Zakapturzony i przystrojony w świecidełka socyologiczne szowinizm przypomina definicyę, daną przez dzikiego: „jeśli ja okradnę — jest to dobrem, jeśli zaś mnie okradną — jest to zbrodnią.“ Jastrow wychodzi z tego założenia, iż za ideał polityczny należy uważać państwo narodowe (*Nationaler Staat*). Z tego punktu widzenia pożądane jest zlanie się wszystkich żywiołów, noszących na swych barkach gmach państwowy. Stara piosenka, lecz wiecznie nowa w ustach polityków podejrzanej wartości moralnej. Językowi polskiemu należy przyznać jego prawa— radzi Jastrow — i uwolnić go od udręczeń policyjnych; błędem byłoby wszakże obdarzać go tymi samymi przywilejami, co niemiecki. Każdy dostrzeże wyłażące z worka naukowego szydło cynicznej prawdy, że większość panuje nad mniejszością, przyczem swe panowanie uświęca stanowczym nakazem obowiązku politycznego. Wyrządzilibyśmy jednak krzywdę Jastrowowi, zaliczając go do pocztu pospolitych zacietrzewionych germanofilów. Zaznacza on bez ogródki, iż zasady praktykowanej w polityce nie należy przenosić do żadnej innej dziedziny. Tak np. potępia popieranie rządowe przemysłu niemieckiego w prowincyach polskich i nie znajduje wyrazu oburzenia na nietaktowne wzięcie w obronę „chętnych żywiołów.“

W ostatnim okólniku antipolskim ministrowie wyrazili gotowość przyjęcia z otwartemi rękami tych Polaków, którzy pójdą zgodnie z Niemcami. Jeśli można kiedy niekiedy wybaczyć emigrantowi — mówi Jastrow — iż z konieczności lub przez sympatyę dla „drugiej“ ojczyzny przystaje do obcego narodu, to nie masz nic wstrętniejszego nad renegata. Okólnik rządowy, który otwarcie pochwala odszczepieństwo, szerzy demoralizacyę. Z punktu widzenia skuteczności protekcyonizm urzędowy, rozciągnięty tylko na pewną sferę handlowo-przemysłową, musi się minąć ze swem zadaniem. Niemcy trzymając się ławą, obudzą tem większą czujność Polaków i przyczynią się do dalszego rozrostu średniego stanu polskiego, podobnież jak dotychczasowe prześladowania postawiły na nogi przemysł i handel polski. Okólnik — ciągnie dalej Jastrow — zwraca się przedewszystkiem do urzędników i składa w ich ręce misyę gnębienia Polaków. Lecz etyka w żaden sposób nie może przyznawać takiego ubezsamowolnienia funkcyonaryusza państwowego. Obarcza się go obowiązkami, które może nie odpowiadają jego przekonaniom. Na domiar złego, co poczną urzędnicy polscy? Czyż się mają zaciągnąć do szeregów „chętnych żywiołów“? Polacy sprawują najrozmaitsze urzędy wojskowe i cywilne; tak np. jeden był nawet generalnym adjutantem cesarza Wilhelma I. Jakże taki urzędnik, postawiony pomiędzy dwa ognie, ma pogodzić podszepty, a raczej nawoływania swego sumienia z germanizacyjną odezwą ministeryalną? Zupełnej swawoli równa się nacisk, wywierany na nauczycieli. Na zasadzie jakiegoś tam zbutwiałego szpargału archiwalnego nauczyciel prywatny jest obowiązany podawać co rok prośbę o pozwolenie na udzielanie wykładów, czyli chcąc nie chcąc, musi dla kawałka chleba zaprzedać swo sumienie hakatystom. Na zakończenie dr. Jastrow nadmienia, iż pewne środki, wymierzane obecnie wyłącznie przeciwko Polakom, mogłyby mieć racyę bytu w razie rozciągnięcia ich na całe Niemcy. Jako wyraz okrucieństwa i nienawiści, paczą zawartą w nich zdrową zasadę.

Parcelacya bankrutującej własności ziemskiej mogłaby uzyskać poparcie warstw postępowych, jako reforma, mająca na celu pokrzepienie gospodarki chłopskiej. Szkoły wieczorne, t. zw. Fortbildungsschulen, obowiązkowe dla W. Ks. Poznańskiego, zasługują na bezwzględne uznanie i rozpowszechnienie, nie jako środek wynaradawiania i rabusiowstwa kulturalnego, lecz jako instytucya, zaopatrująca młodzież w zgodną z duchem czasu amunicyę naukową dla ułatwienia jej walki o byt.

H. F.

PANI OPINIA.

Odludki z zapadłych stron zazdroszczą nam, mieszkańcom wielkiego miasta — „szerokiej fali życia społecznego i umysłowego,“ tej fali, która unosi i wyrzuca gdzieś na dalÊki brzeg jałowy wszelkie okruchy małostkowości, wszelki pył i brud powierzchni życiowej, sama zaś pozostaje w całej swej głębi czysta i poważna. Niestety! — pozostaje ona, taka czysta i poważna tylko w wyobraźni odludka, do którego zdala jej szum dochodzi. W rzeczywistości my nie znamy życia szerokiego, nie znamy jego siły porywającej i unoszącej na rozległe przestwory. Nas porywa i pcha rzeczywiście fala, lecz to jest fala tłumu, gnana przez wszechwładną panią Opinię. Proszę mi wskazać jednego człowieka na tysiąc, któryby się jej oparł, któryby nie uległ jej przemocy.

Przyjrzyjmy się tej sile, co nami rządzi, łamie nasze charaktery i kornych niewolników z nas czyni. Nie opuszcza nas nigdy, zagląda do naszego życia codziennego i społecznego. Jest ona tem fałszywem okiem na drzwiach celi więziennej, po za którem zewnątrz tkwi żywe, nieustannie czuwające.

Dusza wszechwładnej pani Opinii składa się z pierwiastków naszego otoczenia. Jakie są te pierwiastki, taka opinia. Jeżeli to jest nędza duchowa i moralna, to nas ona obrzuca swem błotem. Jeżeli cuchnące bagnisko pożądań, to stara się oblać nas swoją zawartością, mierzyć nasze dążenia, czyny i pobudki — całą głębią swego łożyska. Na takiem podścielisku wytworzyły się sądy towarzyskie. Nasz wielki świat „szerokiego i poważnego życia,“ to ogniwo towarzyskie. Z takich ogniw składa się cały długi łańcuch, do którego przykuci chodzą i wielcy i mali, i rozumni, i głupcy. „Baczność! — woła Opinia. *Ten* przekracza moje prawa, burzy równowagę przepisów towarzyskich. W tem coś jest!“ Jeżeli tu chodzi o mężczyznę i kobietę, to naturalnie, obrzuceni będą błotem wyroków, wyssanemi z dusz tego drobnego otoczenia. Kobiety rzucają brudny wyrok na upatrzonych „przestępców,“ bez wahania, pod wpływem jakichś wewnętrznych niemych głosów pragnienia, którego sformułować jasno nie miałyby odwagi. Sąd mężczyzn w gruncie jest skojarzeniem zbrutalizowanych pierwiastków ich dusz. „W tem coś jest! — woła opinia tych sędziów — bo musiałoby *coś być*, gdybyśmy się znaleźli na miejscu *tamtych*...“

Z tego źródła pierwotnego, z drobnych kółek towarzyskich, Opinia rozlewa się po całym obszarze życia społecznego, wnosi tam wszystkie pierwiastki i cechy małego światka „występnych“ i „sprawiedliwych.“ Najżarliwsi, najzdolniejsi kierownicy spraw społecznych, ludzie, którzy się oddali dobru publicznemu, niosą dla ogółu ofiary bezinteresowne, poświęcają mu swoje siły i środki, swój zapał i wiarę— ludzie tacy stać muszą wiecznie przed sądem mętnej opinii. „W tem coś jest! Za te swoje ofiary oni nam rachunek podadzą!...“

Dzieje się to i gdzieindziej, tylko na wielką skalę i pod wpływem podniet szerszych. Gdy Zola z bohaterską odwagą wystąpił w imię prawdy i sprawiedliwości, zaprotestował hańbie narodu — tłum, oszołomiony i zaćmiony Opinią, powstałą z osadów duszy zbiorowej, obrzucił go obelgą, za obronę czci narodowej, chciał rozszarpać i utopić w Sekwanie. „W tem coś jest“ — wołali rozbestwieni. Gdy Labori z całym zapałem wystąpił w obronie oskarżonego przez sąd i tłuszczę, ktoś z tłumu zawołał: „Ile panu za to zapłacono?!“ Czad tej Opinii doszedł aż do nas i odurzył słabe głowy, wywołał w kilku pismach oburzenie na Zolę. Chciano ze szpalt wraz z czernią paryską pluć na niego. Gdy u nas garstka ludzi, przejętych sprawami dobra społecznego, zaprotestowała przeciwko wadliwej gospodarce Towarzystwa dobroczynności i wywołała zmianę korzystną, tłum poddanych mętnej Opinii i podniecanych przez jej lokajów prasowych, obrzucił obelgą obrońców dobra społecznego i upatrzył w ich czynach cele korzyści osobistej.

Pani Opinia, posługująca się tłumem cierów, nie byłaby groźną dla społeczeństwa, gdyby nie łamała charakterów, nie kruszyła hartu ducha jednostek lepszych. Niestety, wpływ jej coraz większe spustoszenia czyni. Dziennikarz czy publicysta, sprzedający swoją pracę na rynkach wielu redakcyj—pracę bezimienną,—niesie w ofierze swoje ideały i przekonania, sprzedaje detalicznie lub hurtownie „kierownikom opinii publicznej.“ Bezimienność, wytwór kapitalizmu dziennikarskiego, ułatwia mu tranzakcyę. W gorącej, młodej duszy wypielęgnowane ideały zrazu się buntują; podczas targów z redakcyą serce porusza się szybko, krew tętni w skroniach. Powoli staje się on skłonniejszym do ustępstw. „Wszak nikt nie wie, że to ja pisałem.“ Więc pozwala swoje idee i poglądy skazić. „Co to szkodzi, że w piśmie X. wypowiem się mniej jaskrawo, niż w Y.?“ Stopniowo „jaskrawość“ staje się zupełną zmianą zdania i przekonań. Dochodzi do tego, że p. Nękarski, współpracownik pisma X, może polemizować z p. Nękarskim, współpracownikiem pisma Y. Wytwarza się dwulicowość, a nawet wielolicowość „współpracowników pism.“ W końcu powstaje prostytucya dziennikarska. Przedstawiciele opinii publicznej niosą sztandar zwycięztwa. Mają zniepra wionych pachołków na swe usługi!

„Co ludzie powiedzą!“ — mówi niewolnik Opinii towarzyskiej. „Co świat powie!“ — woła sługa Opinii społecznej — tłumu. Jedni i drudzy, w gruncie czyści, uczciwi, patrzą z ukosa na tę Opinię, jak zbrodniarze, boją się swojej czystości i swoich czynów szlachetnych. „Jabym to zrobił, ale tamci potępią!“ — usprawiedliwia się ofiara Opinii społecznej. „Muszę się wyrzec tego, co mię ożywia, co broni od pospolitości i szarzyzny życia codziennego, bo mię oszkalują znajomi!“ — mówi do siebie niewolnik Opinii towarzyskiej. I jeden i drugi boi się padalczej śli-

ny, pomimo że te śliskie płazy mogłyby się rozsypać za lekkiem potrąceniem. Boi się piany i śliny brudnej Opinii, wyrzeka się czynów dobrych i porywów szlachetnych, wstydzi się swej uczciwości i czystości! Pod wpływem tej wszechwładnej pani Opinii łamią się, uginają charaktery, kurczą się serca, zniżają dusze, maleją czyny. Niewielka garstka śmiałków idzie z czołem podniesionem i nie boi się błota, które chociaż spadnie na ich twarze i szaty, lecz duszy nie dosięgnie i nie pokala. Większość chodzi chyłkiem, nie ma odwagi zaprotestować zniewagom społecznym, nie może się pozbyć uprzejmości dla tych, którym się należy pogarda i napiętnowanie.

Opinia społeczna jest nam potrzebna, ale powinna to być opinia dusz czystych, charakterów prawych i umysłów jasnych. Opinia, która piętnuje śmiało zamiary, czyny i pobudki, z mętnych mokradeł społecznych płynące. Dopóki nie zdobędziemy się na taką, póty będzie nas gnębiła ta wszechwładna pani, zniepr awiająca dusze i charaktery, póty życie społeczne tonąć będzie w małostkowom, prywatnem.

Zenon Pietkiewicz.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK.

Wykup tramwajów.

Magistrat warszawski postanowił uczynić krok bardzo ważny w dziejach gospodarki miejskiej: Wykupić tramwaje od Towarzystwa belgijskiego. Według zapewnień dzienników, postanowienie to spowodowała głównie niechęć Towarzystwa do wszelkich nakładów na urządzenie nowych linij i powiększenie taboru, skutkiem czego całe dzielnice, zabudowane i zaludnione, nie mogą się doczekać komunikacyi tak niezbędnej. Prócz tego, na wielu liniach dotkliwie daje się odczuwać brak wagonów. Powody bardzo słuszne i wzbudzałyby wiele nadziei, gdyby nie to, że p. W. Kiślański w szerokiem wyjaśnieniu (*Kuryer Warsz.* nr. 135), nietylko zbija motywy powyższe, lecz na zarzuty ogólnikowe, uczynione Towarzystwu, odpowiada zarzutami szczegółowymi, obarczającymi zarząd miasta. Wszelka inicyatywa w zakresie rozszerzenia sieci tramwajowej, należy wyłącznie do magistratu, tak dalece, że gdyby Towarzystwo nie chciało budować linii, uważanej za konieczną, to władza miejska ma prawo powierzyć roboty innemu przedsiębiorcy. Tymczasem — jak utrzymuje p. Kiślański, Towarzystwo zamiast ułatwień w tej mierze, napotykało ciągłe trudności. Oto fakty:

„We wrześniu 1895-go r. Towarzystwo przedstawiło projekt linii przez ulice: Gęsią, Dziką, Dzielną, Karmelicką, Leszno i Żelazną do przecięcia z koleją Warsz.-Wiedeńską, ogólnej długości około 4 wiorst. Projekt ten jednak nie mógł być dotychczas wykonany z przyczyny, że magistrat, zagroziwszy wykupem, nie chce gwarantować zwrotu wydatków na budowę nowych linij w razie wykupu. W r. 1896-ym magistrat zaproponował wybudowanie linii przez ulicę Dobrą. Towarzystwo przedstawiło odpowiednie podanie i projekt w czerwcu r. 1896-go, a jednak do dnia dzisiejszego nie ma pozwolenia na budowę. Nakoniec, w liście z dnia 20-go listopada r. 1897-go Towarzystwo upraszało magistrat o prawo przedłużenia linii, prowadzącej od dworca Terespolskiego przez ulice: Wołową i Grochowską do nowej rogatki moskiewskiej, lecz do dnia dzisiejszego nie otrzymało upoważnienia. Magistrat ma prawo wykupu od 23-go października 1896-go r. w każdym czasie, płacąc Towarzystwu rentę roczną, równą średniemu czystemu zyskowi za 5 lat ostatnich. Gdyby zatem Towarzystwo zbudowało obecnie nowe linie, to wraz z taborem wydałoby około 500,000 rs., które, w razie wykupu, byłyby czystą stratą, gdyż linie nowe przeszłyby na własność miasta, a dochód z nich nie figurowałby w średnim dochodzie z 5-iu lat ostatnich. Zarząd Towarzystwa, będąc odpowiedzialnym przed akcyonaryuszami, nie ma prawa wydawać tak znacznych sum, bez pewności zwrotu ich w razie wykupu. W ostatnim liście z d. 10 marca r. b. Towarzystwo proponowało magistratowi bardzo dogodne warunki spłaty nowych linij w razie wykupu, a mianowicie: jeżeli wykup nastąpi w pierwszym roku po zbudowaniu, magistrat zapłaciłby Towarzystwu rzeczywistą wartość: linij, wagonów i koni; jeżeli po 2-ch latach — 75% powyższej wartości, po 3-ch latach 50%, po 4-ch latach 25%, po 5-u — na ogólnych zasadach kontraktu. Na ten list jednakże magistrat odpowiedział, że nie może rozpoznawać projektu, do czasu zdecydowania kwestyi co do siły pociągowej elektrycznej.“

Postanowienie magistratu co do wykupu zasługuje na szczere uznanie, jest bowiem objawem wielkiego postępu. Ale z drugiej strony wyjaśnienia p. Kiślańskiego nasuwają pewne wątpliwości, czy magistrat potrafi podołać tak wielkim obowiązkom i pogodzić swoje rachuby ekonomiczne z potrzebami mieszkańców miasta? Potrzeby te są bardzo ważne i pilne, zwłaszcza że Towarzystwo belgijskie znacznie je zaniedbało. Obrona powyższa nie uwalnia go od zarzutów, że przedewszystkiem dba o dywidendę swych akcyonaryuszów, że lekceważy żądania i wygody mieszkańców, że na dworce kolejowe nie wysyła odpowiedniej liczby wagonów, lub każe je cofać, nie doczekawszy się pociągu spóźnionego; że nie uwzględnia moralnych i materyalnych potrzeb pracowników swoich, że prawie nie daje im wytchnienia, obarcza karami uciążliwemi i wogóle wyzyskuje niemiłosiernie. Spodziewamy się tedy, że magistrat, jako organ nie przedsiębiorczy, lecz służący interesom ludności całego miasta, przedewszystkiem poprawi warunki bytu tych nieszczęśliwych rzesz pracujących; że następnie uzna za najpilniejszą sprawę wybudowanie nowych linij tramwajowych w dzielnicach zamieszkałych przez ludność ubogą. Ułatwi to poniekąd racyę bytu tanich mieszkań dla robotniów i rzemieślników.

Egzaminy.

Prasa rosyjska szeroko obecnie pisze o bezcelowości egzaminów i szkodliwości ich dla zdrowia młodzieży. Między innemi zasługuje na zaznaczenie bardzo poważny i słuszny pogląd p. Mierzejewskiego, b. profesora psychiatryi:

„Po co w gimnazyach i innych zakładach naukowych, w których wprowadzono stałe pytania i sprawdzania wiadomości uczniów, krok za krokiem, w miarę przechodzenia kursu, istnieją jeszcze egzaminy roczne, skoro one 1) nie dają, ściśle biorąc, dokładnego pojęcia o zasobie wiadomości egzaminowanego, a częstokroć wytwarzają pojęcia zgoła błędne, wypadające zazwyczaj na niekorzyść ucznia; 2) wywołują zamykanie młodzieży na kilka godzin i to w ciągu najlepszych miesięcy letnich; 3) dokonywają się wówczas, gdy dzieci wymęczone są ostatecznie 9-miesięczną pracą, zabierającą im po 8 godzin dziennie co wyczerpuje mózg jeszcze nierozwinięty, gdy hygiena racyonalna przepisuje nie więcej nad 8 godzin pracy dla dorosłego robotnika; 4) wpływają wielce szkodliwie na system nerwowy dziecka i doprowadzają do podniety, kończącej się częstokroć bardzo fatalnie. Czyżby celem egzaminów było tylko ułatwienie inspekcyi naukowej dozoru i kontroli nad skutecznością nauki i wykładu? Ale w takim razie cel nie usprawiedliwia środków! Mojem zdaniem, nie obowiązek egzaminu, lecz prawo do egzaminu winno być nadane uczniom, i to jedynie z przedmiotów, z których stopień roczny mają niedostateczny. Należy zastosować tę samą zasadę, według której ustawy nadają oskarżonym prawo przytaczania i powoływania się na wszelkie okoliczności i sposoby, prowadzące do usprawiedliwienia go z zarzutów.“

Prof. Mierzejewski nie uznaje, całkiem słusznie, systemu obecnego, który tylko lepszych uczniów uwalnia od egzaminów przejściowych. Czas nareszcie, ażeby logika życia i jego potrzeby zwyciężyły rutynę, gwałcącą zasadnicze prawa rozwoju duchowego i fizycznego młodzieży szkolnej.

Odezwa.

Odbieramy następującą odezwę:

„Przy sekcyi 4-ej drobnego przemysłu i rzemiosł niedawno zawiązała się delegacya, mająca na celu ułatwienie zbytu naszym warsztatom rzemieślniczym i drobniejszym przemysłowcom w Syberyi. Z dziwną jednak obojętnością w tym kierunku zachowują się właśnie ci, którzy ze względu na szczupłe siły materyalne własne powinniby przedewszystkiem dążyć do działalności zbiorowej, do organizowania związków i spółek, do zrzeszania się w celu łącznego wyszukiwania dla swych wyrobów nowych rynków zbytu na dalekim Wschodzie, gdy ich u siebie brak, a na Zachód liczyć niepodobna. Pomimo gorących zachęceń na zebraniach sekcyi rzemieślniczej, mało bardzo naszych wytwórców i rękodzielników zainteresowało się delegacyą, która też w bardzo szczupłem gronku chętnych działalności swej rozwijać nie może.

W przekonaniu jednak, że działać należy, zwracając się ogólnie do prasy naszej o poparcie, delegacya prosi wszystkich rękodzielników i drobniejszych wytwórców, o ileby który z nich pragnął wyroby swoje skierować na rynki syberyjskie, ażeby zechcieli nadsyłać na ręce sekretarza sekcyi drobnego przemysłu i rzemiosł p. Józ. Rzętkowskiego (do redakcyi *Gazety przemysłowo-rzemieślniczej* Krakowskie Przedmieście 66 w Warszawie) szczegółowe wiadomości o rodzaju swych wyrobów, cenach ich, warunkach sprzedaży, ilości wyrobów przeznaczonych na wysyłkę itd., z dołączeniem dokładnego adresu. Niech by tak jeden drugiego poruszył, rozgrzał, to może się jakoś zbliżymy, zliczymy, zwiążemy... i może Pan Bóg pozwoli, że się co pożytecznego uda. A wielki czas!“

Kiedyż z naszego życia znikną te ciągłe dowody niezaradności! Podczas gdy inne przeciskają się najmniejszą szparą ze swymi wyrobami, nas nie można namówić, ażebyśmy korzystali z szerokich rynków. Nie byłoby to tak smutne, gdyby od energii w tym kierunku nie zależało w części nasze istnienie.

Lekarki.

Ogłoszone w tych dniach orzeczenie Rady państwa stanowi bardzo doniosły krok w życiu społecznem i ekonomicznem i wyprzedza znacznie inne państwa: Kobietom lekarkom nadano przywileje służby państwowej i korzystania z emerytury. Wszystkie pracownice tego zawodu, które kształciły się w zwiniętych kursach przy wojskowym szpitalu Mikołajewskim w Petersburgu, albo złożyły

egzamin w uniwersytetach rosyjskich i w akademii wojskowo-lekarskiej, wreszcie wszystkie w przyszłości dyplomowane wychowanki obecnego instytutu lekarskiego, jeżeli zajmują posady, korzystać mogą z praw służby państwowej (z wyjątkiem awansów rangowych i orderów). Emerytura wypłacana będzie nawet w razie wyjścia za mąż. Dzieci lekarek mają prawo do emerytury i zasiłków jednorazowych, jeżeli są sierotami, albo jeżeli po ojcu nie pozostała im emerytura. Ważny jest bardzo warunek, że dzieciom, sierotom po lekarce, jeżeli ojciec i matka wysłużyli prawo do emerytury—wolno korzystać w pewnym stosunku procentowym z tej emerytury, która jest wyższą (ojca lub matki). Wszystkim lekarkom czas służby, spędzony przed wydaniem przepisów niniejszych, zaliczony będzie na rachunek emerytury i zasiłków jednorazowych, pod warunkiem pewnych potrąceń z pensyi. Lekarki mogą również korzystać z dyet na rozjazdy, stosownie do kategoryi posad. Takie przyznanie kobietom przywilejów bytu nie wątpliwie wpłynie na zwiększenie owocności ich pracy. Dotychczas niepewność jutra czyniła to, że lekarka uważała za podstawę bytu nie swój zawód lecz—opiekuńcze ramiona męża. Odbijało się to ujemnie na jej zadaniu i powołaniu, a także na materyalnych warunkach pracy i losach dzieci.

Zbyteczny rygor.

Czytamy w *Gaz. Polic.*: „Robotnicy, pracujący przy budowie domów, rozchodząc się po dziennej robocie, mają zwyczaj zabierać różne materyały budowlane. Ponieważ zwyczaj ten, chociażby stosował się do zabierania wiórów, podług postanowienia b. komisyi spraw wewnętrznych z r. 1835, jest wzbroniony pod rygorem odpowiedzialności jak za każdą kradzież, przeto polecono policyi oznajmić o tem robotnikom i dopilnować, aby ci żadnych materyałów z placu budowy nie zabierali. Wykraczający przeciw temu rozporządzeniu będą pociągani do odpowiedzialności karnej.“

Rozporządzenie to wydano przed *sześćdziesięciu laty*, kiedy warunki ekonomiczne i społeczne były zupełnie inne. Obecnie odnowiono ten przepis, jak widzimy, z całą surowością, i po co? Właściciele domów budowanych nie robią żadnego użytku z wiórów szczap i kawałeczków drzewa, zaśmiecających tylko teren budowania. Tymczasem dla robotników to *śmiecie* wobec drożyzny drzewa i węgla stanowi cenny dodatek do płacy; pozwala ugotować strawę, ogrzać siebie i dzieci podczas dni zimnych i słotnych. Właściciele domów budowanych wcale temu nie protestują. Pocóż więc odgrzebywać rygor, który może przed sześćdziesięciu laty miał racyę, lecz dziś przyczynia się do pogorszenia bytu pracowników?

Totalizator.

Pomimo, że ten „sport“ jest bardzo niebezpieczny, że posiada wszystkie cechy gry hazardowej, tj. czynu, przez prawo ściganego, pomimo to wszystko totalizator, jako rozrywka ulegalizowana, trwa ciągle w całej pełni i czyni wielkie spustoszenia materyalne. W każdym sezonie wyścigowym zyskuje on coraz nowych zwolenników, coraz bardziej powiększa szeregi graczów i coraz wyraźniej staje się zjawiskiem choroby społecznej. Dość wniknąć w psychologię tłumu grającego; dość w nim rozpoznać różne kategorye i warstwy społeczne, ażeby przyjść do przekonania, że gra ta stała się namiętnością, groźnym nałogiem, bodaj niebezpieczniejszym niż pijaństwo. Pomijamy kategoryę próżniaczo-pasorzytniczą—młodych i starych hulaków, pływających po szumowinach życia, którzy w swoich łodziach mają zawsze towarzyszki, czerpiące z ich kieszeni pełną garścią tak dobrze na wszelkie przyjemności jak i na bilety totalizatora. Chodzi nam o te liczne rzesze ludzi pracujących i obarczonych obowiązkami. Dziś grają wszyscy: posłaniec, kelner, kantorzysta, urzędnik, rzemieślnik, przemysłowiec itd. Grają za pieniądze swoje i cudze; grają ludzie czuwający nietylko nad bytem własnej rodziny, lecz i ci, którzy mają różne zobowiązania materyalne względem innych, którzy się opiekują bądź mieniem, bądź funduszami cudzymi. Ktoś ulokował na pewnej hypotece moralnej swoje oszczędności z całego życia i, jak o łaskę, błaga o spłatę cząstkową tej pożyczki.— „Musiałem szukać pomocy u lichwiarza—skarżył się nam— bo mój dłużnik zamiast obiecanej raty, przysłał mi bilecik tej treści: „Przepraszam! „Spłókałem się“ w totalizatora; ale na następnych gonitwach odegram i przyniosę panu należność.“ A jakąż rękojmię dają ci „opiekunowie“ cudzych, najczęściej sierocych funduszów, którzy się stali namiętnymi graczami!? Już to samo upodobanie w totalizatorze moralnie odbiera im wszelkie prawo do tego rodzaju obowiązków. Namiętności ludzkich nie poskromi wola. Trzeba usunąć to podścielisko, które je rozwija i wzmacnia: trzeba skasować totalizatora.

BADANIA NAUKOWE.

DOROBEK SOCYOLOGICZNY.

II. Socyologia ogólna.

Jeśli socyologia specyalna, tj. działy społecznoznawstwa, poświęcone studyom nad rozwojem specyalnych urządzeń, takich jak rodzina, religia, własność itd., mogą w ciągu ostatnich lat poszczycić się niewątpliwym rozwojem, natomiast tak zwana socyologia ogólna przedstawia, naszem zdaniem, bardzo niepocieszający obraz jałowych dociekań i podobnież jałowych wyników. I nie my jedni stawiamy takie zarzuty: wydawcy *Roku socyologicznego* także uważają za stosowne bronić tej ostatniej z pośród nauk przeciw oskarżeniom, iż uprawia kult idej apriorystycznych, lekceważy fakty i wskrzesza dowolność dawnej metafizyki. Co więcej, przeglądając prace, które dotyczą socyologii ogólnej, a o których znajdujemy wzmiankę w wydawnictwie Durkheima, możemy przekonać się, iż nie jest dotychczas zamkniętą nawet kwestya, czy taka nauka ma wogóle prawo istnieć i czy jest potrzebną — kwestya będąca zupełnie w porządku rzeczy, jeśli zważymy, że dziewięć dziesiątych rozpraw, ukazujących się w dziedzinie ogólnych zagadnień socyologicznych, jest po prostu przelewaniem z próżnego w puste. Niektórzy, jak P. Barth, nie odróżniają socyologii od historyozofii, inni, jak Giddings lub Simmel, usiłują wykazać jej prawa do zupełnej samodzielności. Spory tego rodzaju i wywody może najlepiej uwydatniają mały postęp, dokonywany przez wiedzę socyologiczną, bo o takich szczegółach można dyskutować tylko wtedy, gdy odpowiednia nauka nie posiada wyraźnych granic, ani jasno wyodrębnionej treści. M. Bouglé, który jest sprawozdawcą działu socyologii ogólnej w wydanej książce, znalazł tylko jeden środek dla wykazania jej prawowitości, mianowicie wyliczył zagadnienia, oczekujące od niej rozwiązania. „Taki spis pobieżny pytań, podniesionych w rozpatrywanych pracach — pisze on — według nas najwymowniejszej świadczy, iż istnieje szereg zagadnień, zwarcie powiązanych z sobą. Żadna inna gałąź wiedzy nie zajęła się niemi dotychczas i socyologia powinna specyalnie poświęcić się ich rozstrzygnięciu.“ Uważamy za stosowne powtórzyć to wyliczenie, ponieważ da ono nam pojęcie o kwestyach, zaciekawiających w chwili obecnej przedstawicieli socyologii ogólnej.

A zatem:

Jakim prawom podlega rozwój społeczeństw i wzajemna zwartość składających je części? Czy w całości swojej one podlegają ewolucyi, która będąc przez pewien czas postępową, staje się następnie z konieczności wsteczną? Czy może takie uwstecznienie ogarnia tylko niektóre strony życia społecznego?

Czy społeczeństwa, stając się gęstszemi, bardziej złożonemi i lepiej zorganizowanemi, oddalają się od siebie lub przeciwnie stają się coraz podobniejszemi? Czy przekształcenia, zachodzące w ich budowie, wywołują asymilacyę wzajemną jednostek lub większe ich zróżniczkowanie?

Czy zmiany społeczne są wynikiem nacisku rzekomo mechanicznego faktów ekonomicznych lub wpływu idej? Czy organizacya więzi społecznej rozwija się żywiołowo i nieświadomie lub może wypływa ze świadomej działalności woli społecznej? Czy wszystkie jednostki jednakowo uczestniczą w tworzeniu się i działaniu tej woli lub może społeczeństwo ujawnia ją tylko za pośrednictwem wybranych umysłów? Czy poddanie tłumów garstce przodowników — socyokratów, że pozwolimy sobie stworzyć nowy termin — stanowi zjawisko chwilowe i przejściowe lub może fakt zasadniczy, nieodłączny od budowy społecznej? Wreszcie w jaki sposób taka uległość oddziaływa na osoby, które ogarnia?

W socyologii ogólnej wydawcy wyróżnili trzy działy: filozoficzny, biologiczny i psychologiczny. W pierwszym zwłaszcza podkreślono książki: Tarde'a o przeciwstawności powszechnej i P. Bartha o historyozofii jako socyologii. Dział biologiczny niemal wyłącznie stanowią rozprawy na temat, czy społeczeństwa są organizmami lub nie. J. Nowikow w pracy o świadomości lub woli społecznej staje na gruncie doktryny, szukającej podobieństwa pomiędzy społeczeństwem a organizmem; trzej autorowie zbiorowej pracy o rozwoju wstecznym w biologii i socyologii, Demoor, Massart i Vanderveldo (obszerniejsze o niej sprawozdanie zamieściła *Prawda* w roku ubiegłym) przyjmują ją z pewnemi zastrzeżeniami. Najobszerniejszy jest dział psychologiczny, obejmujący prace, które za istotę społeczeństwa uważają wzajemne oddziaływanie świadomości indywidualnych. Mamy tam wymienione: Giddingsa zasady socyologii, Simmela o wyższości i podporządkowaniu jako przedmiocie socyologii, Pattena o stosunku psychologii i socyologii.

Z wymienionych książek na uwagę zwłaszcza zasługują prace Nowikowa i Giddingsa.

J. Nowikow należy do wyznawców teoryi, głoszącej, iż społeczeństwo jest swojego rodzaju organizmem. Zdawałoby się, iż doktryna ta wyrzekła już ostatnie słowo i nawet została pogrzebaną pod naciskiem analogij, doprowadzonych do ostateczności. Autor wymieniony przyznaje to: „analogie, zanadto powierzchownie przeprowadzone, a niekiedy w sposób dziecinny dokonane, przyczyniły się bardzo do jej podkopania.“ Jednak sam Nowikow mniema, że cała przyszłość socyologii w niej spoczywa i w pracy swojej usiłuje wykazać podobieństwo duchowej działalności organizmu a społeczeństwa. W pojedynczym organizmie pewne komórki wyodrębniły się w mózg, społeczeń-

stwa nie doszły jeszcze do tego i może nie dojdą, ale swoją drogą cały rozwój życia gromadnego zmierza w tym kierunku, mianowicie do stworzenia takiego zbiorowego sensoryum. Książka Nowikowa ma na celu wykazanie całego znaczenia takiego organu w życiu społecznem. Przedewszystkiem zajmuje się ona zagadnieniem, jaką jest natura pożądania społecznego. Chcenie takie ogarnia całe społeczeństwo i opiera się na mniej więcej jasnem uprzytomnianiu jego istoty. Ale stanowi ono przymiot nie wszystkich członków narodu, większość bowiem odznacza się raczej widnokręgami bardzo zacieśnionymi i tylko nieznaczna mniejszość ma czas, ochotę i rozległość umysłową, dostateczną dla objęcia całości społecznej jednym rzutem oka. Jest to arystokracya pewnego szczególnego rodzaju — świadomości społecznej, stykająca się z pospolitą arystokracyą, opartą na pochodzeniu i bogactwie, w wielu punktach. Socyokracya ta wydaje ideje zmian społecznych i streszcza aspiracye narodu, lecz zawsze jest odrębna od właściwego rządu. Ten ostatni odpowiada w organizmie organom ruchu, tymczasem tamta stanowi organy czucia. Arystokracya społeczna jest przeto w życiu społecznem żywiołem jak najdonioślejszym. „Niema tam aspiracyj społecznych i, co za tem idzie, życia gromadnego w rzeczywistem słowa znaczeniu, gdzie społeczeństwo nie posiada mocy dostatecznej, ażeby stworzyć, a przynajmniej utrzymać dość liczną arystokracyę, któraby mu służyła jako mózg. Tego samego rodzaju anemia mózgowa powstaje, kiedy organ ten, acz istniejący, nie działa należycie, tj. arystokracya jest usunięta od swoich obowiązków pod wpływem istniejącej ustawy politycznej lub, co gorsza, dobrowolnie zapomina o swojej powinności. Wszystkie postępy cywilizacyi nowożytnej były dokonane bez udziału tej grupy. Sensoryum społeczne źle zrozumiało zadanie swoje i organ uległ zanikowi.“ Mniejsza o co chodzi, czy tylko o danie obywatelstwa nowemu wyrazowi lub o rozpowszechnienie idei filozoficznej albo reformy politycznej; idea odpowiednia tylko wtedy przedostaje się do tłumów, gdy dozna poparcia ze strony tej garstki wybranej, którą należy uważać jako mózg społeczny. Myśl nowa może powstać w wielu głowach, ale zawsze musi pozyskać dla siebie wybrańców społeczeństwa, ażeby zamienić się na czyn, świadomy lub odruchowy. Ci to „najlepsi“ — *optimates* — dyktują tłumom, co jest prawdą a co fałszem, co sprawiedliwem a co niesprawiedliwem, pospolitem a niezwykłem. Ideały społeczne są wyłącznie ich tylko tworem.

W pracy J. Nowikowa ujawniają się w całej pełni wszystkie wady teoryi, twierdzącej, iż społeczeństwa są organizmami. W gruncie rzeczy nic nie wyjaśnia ona; jedynie służy do przekładu faktów społecznych na język terminów biologicznych. Autor pragnął udowodnić konieczność i rolę socyokracyi, porównał więc ją do mózgu, poczem odwrócił tezę, bo przyjąwszy, iż społeczeństwo jest organizmem, zaczął w niem poszukiwać mózgu i znalazł go w arystokracyi. Ktoś zrobił słuszną uwagę, mianowicie iż fakty biologiczne są zbyt odległe od właściwych zjawisk społecznych, ażeby miały dla tych ostatnich dostarczać wyjaśnienia. Już bliżej i nawet bardzo blizko zrozumienia istoty społecznej stoją ci, którzy przypuszczają, iż objawy społeczne wypływają bezpośrednio ze stosunków, nastających i zachodzących pomiędzy świadomością pojedynczych członków narodu. W liczbie ich znajduje się Franklin H. Giddings, którego praca *The Principles of Sociology*, 1896, doczekała się tłomaczenia na kilka języków.

Według uczonego amerykańskiego, socyologia powinna być wiedzą ogólną o społeczeństwie, co bynajmniej nie oznacza, ażeby była zbiorem osobnych nauk społecznych. Jako specyalność swoją ma ona za przedmiot studya nad tem, co jest wspólne zjawiskom, badanym przez ekonomię polityczną, i nauki polityczne i historyę religii. Zająć się ona winna tem, co ostatnie przyjmują za założenie, i stać się gałęzią wiedzy, badającą zasady oraz podstawy zjawisk społecznych. Treścią stosunku społecznego nie jest ani umowa, ani naśladownictwo, tylko świadomość wspólnej rodzajowości — *consciousness of kind*, jak Giddings się wyraża. Jedno jestestwo przyznaje w innem tę samą naturę rodzajową, jak w sobie, tj. tę, że obaj należą do tego samego rodzaju: naśladownictwo, umowa i inne czynniki mogą współdziałać w wytworzeniu takiego stanu rzeczy, ale nie są one jedyną pobudką, ani konieczną. Nastręcza się jednak pytanie, czy biorąc za podstawę treści zjawisk społecznych fakt natury psychologicznej, nie zacieramy granic pomiędzy socyologią i psychologią i nie zlewamy ich w jedno? Nie, odpowiada Giddings na to. Socyologia wprawdzie jest pewną częścią psychologii, lecz podobnież wyodrębnia się od psychologii, jak ta od biologii. Za przedmiot badań obrała ona wyspecyalizowane i bardziej złożone objawy psychologiczne, które są źródłem szczególnego podłoża — objawy, wynikające z oddziaływania wzajemnego świadomości indywidualnych. Warunkiem podstawowym powstania społeczeństwa jest uprzednie zgromadzenie indywiduów, lecz taki zbiór mechaniczny jednostek dopiero wtedy zamienia się na asocyacyę społeczną, gdy wzajemność duchowa zacznie działać pomiędzy osobami zgromadzonemi. Działanie to wypływa z walki i wogóle zatargu. Jednostki tego samego rodzaju zbliżają się i dochodzą do świadomości o swojem podobieństwie. W miarę rozwoju więzi społecznej umysły indywidualne ulegają przekształceniu w kierunku uspołecznienia, tj. poczucia solidarności wzajemnej. Nadto powoli powstaje inna kategorya psychiczna — duch społeczny, który naturalnie sadowi się nie po za świadomością poszczególną, lecz w niej, choć swoją drogą panuje nad nią i ujarzmia ją. Zawiera się on w ideach i wrażeniach wspólnych wszystkim członkom narodu. Lecz spoidło to, ducha społecznego, byłoby słabe i niedostateczne, gdyby ponad ideami, wiążącemi członków społeczeństwa w chwili bieżącej, nie istniały także te, które ich wiązały w czasach ubiegłych tj. tradycya wszelkiego możliwego rodzaju. Społeczeństwo nie jest organizmem, ale organizacyą, która zjawiła się częściowo jako rezultat nieświadomego, żywiołowego rozwoju, częściowo zaś jako wynik pracy świadomej. Ale nie trzeba zapominać, iż życie samo stanowi tylko jedną z faz ewolucyi kosmicznej, podległą prawom ogólnym rozmieszczenia sił itd. Wszelka energia społeczna jest tylko przekształconą energią fizyczną.

Idea Giddingsa, iż objawy społeczne są tylko pewnego rodzaju objawami psychicznymi, jest właściwa obecnie obszernemu zastępowi socyologów. „Połączywszy pierwiastki fizyologiczne—pisał K. Bernard—otrzymujemy przymioty, których w tych pierwiastkach nie dostrzegliśmy. Zjawiska bardzo specyalne mogą ukazywać się w następstwie coraz bardziej złożonego połączenia składników organicznych. Ich związek jest czemś więcej, niż prostą sumą ich dodanych do siebie właściwości. Znajomość człowieka odosobnionego nie da nam wiedzy o instytucyach, które pochodzą od stowarzyszania się i mogą ujawnić się tylko w życiu społecznem.“ Słowem, psychologia indywidualna nie daje jeszcze pojęcia o psychologii życia zbiorowego. Należy tę ostatnią badać odrębnie, rozpatrywane zaś fakty psychiczne są tak specyalnej natury, iż zupełnie uprawniają powstanie osobnej nauki, którąby je badała — socyologii. Takim jest punkt wyjścia psychologicznej szkoły socyologów.

L.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Aleksander Mańkowski: *Moja Helenka.* Powieść współczesna. — Stanisław Pilecki: *Dzieje małżeńskie.* Powieść.

II.

Cała, dosyć zresztą powierzchowna i ogólnikowa psychologia małżeństwa, przeprowadzona przez p. Mańkowskiego w „Mojej Helence,“ dotyczy tylko, jak bywa najczęściej, jednej, szczupłej warstwy istot ludzkich, jednej wyłącznie klasy, w której kobieta, wychowywana od dziecka na bawidełko i lalkę, widzi w małżeństwie dalszy ciąg zabaw panieńskich, a nie mając obowiązków żadnych, prócz obowiązku podobania się mężowi i uprzyjemniania mu chwil, wolnych od zajęć gospodarskich lub, co się zdarza częściej, od wyścigów, zielonego stolika, polowań i tym podobnych arystokratycznych przyjemności, doznaje w końcu nudy i przesytu i w pogoni za nowemi wrażeniami, czasem za tchnieniem jakiegoś świeższego, silniejszego powiewu, przekracza łatwo granice, zakreślone przez wymagania etyczne, przez moralność swego środowiska.

W sferze uczuć i pojęć tej samej klasy obraca się i p. Stanisław Pilecki w swych „Dziejach małżeńskich,“ ale, mając widocznie mniej zręczności, czy wprawy pisarskiej od autora „Mojej Helenki,“ mniej plastyki i dowcipu w kreśleniu pojedynczych scen i sytuacyj, umie mimo to w danym razie lepiej od niego odtworzyć przed wzrokiem czytelnika ukrywaną zazwyczaj starannie głąb duszy ludzkiej i z większą jaskrawością i siłą maluje smutny obraz tej długiej, męczącej walki dwóch egoizmów, zamkniętych we wspólnej klatce o żelaznych prętach, tego nieskończonego szerega wzajemnych kłamstw, rozczarowań i zawodów, jakim najczęściej bywa dzisiaj małżeństwo, nawet w tym wyjątkowym niemal wypadku, gdy wypływa pozornie z t. zw. „czystej miłości.“

Autor obrał dla swego utworu niedogodną i nasuwającą wiele wątpliwości formę, wkładając opowiadanie całe w usta głównego bohatera; niepotrzebnie przedłuża powieść, doprowadzając ją aż do śmierci Tadeusza Sieńskiego, chociaż zajęcie czytelnika słabnie o wiele wcześniej—niepotrzebnie roztacza przed nami obraz stopniowego upadku nieszczęśliwego morfinisty i każe nam odbywać razem z nim wycieczki za granicę. Lecz mimo te niezręczności i usterki, mimo to nawet, że i w ciągu opowiadania samego nie zawsze umie powstrzymywać w porę potok słów i rozmyślań, nasuwających mu się pod pióro, a luźnie dosyć związanych z treścią utworu, powieść jego wogóle wywiera wrażenie dodatnie i — co ważniejsze — wprowadza do naszej literatury pierwiastki nowe. Jest ona u nas, od czasu „Po ślubie“ Zacharyasiewicza, a więc od r. 1866, pierwszą bodaj próbą wciągnięcia czytelnika tak daleko za kulisy życia małżeńskiego i ukazania nam aktorów tej ogranej oddawna komedyi, bez sztucznych masek i szmin-

ki, którą reżyser-życie każe im w zwykłych warunkach smarować zeszpecone przedwcześnie oblicza.

Powieść p. Pileckiego nie należy do utworów, dających się streścić w kilkunastu wierszach, więc się oto wcale nie kusimy. Małżeństwo, którego dzieje opowiada autor, jak związek Pozndyszewów w tołstojowskiej „Sonacie Kreutzera,“ której wpływ w tej powieści zauważyć nietrudno, ma pozornie wszystkie warunki do szczęścia, ale ono, jak złudne miraże pustyni, ucieka przed nimi do końca i nie daje im zaznać swych rozkoszy. Po chwilowych wybuchach miłości, po strasznych scenach ślepej zazdrości, przychodzi nareszcie zobojętnienie wzajemne i jakieś przytępienie na wszystko, nie wyłączając własnych bólów i cierpień. „I tak, mój Edwardzie — opowiada bohater powieści — odtąd minął rok, stosunki nasze pozostały banalne, miłość, uprzednio pełna ideałów, zachwytu, rozkoszy, uleciała gdzieś, zginęła z przed oczu — ja jej pozwalam jeździć, nie oponuję, ona mnie czasem serdeczniej pocałuje, nazwie mnie poufale „dudkiem,“ zmysły czasem nas zbliżą na krotką chwilę, ale czujemy oboje, iż coś, co nas wiązało, pękło, i pod wpływem zwierzęcego instynktu spotkawszy się czasem, co najprędzej wracamy każde do swoich myśli, do swoich zadum, dusze nasze rozrywają się, rozchodzą; nie wiem, czego pragnie, czego pożąda jej dusza, moja czasem straszliwie płacze nad szczęściem zwęglonem.“

Mniejsza o to, że przy końcu utworu następują wzajemne wyjaśnienia, że stosunki zmieniają się na lepsze. Śmierć Toroni, nie będąca tutaj koniecznością, nie pozwala sprawdzić, o ile zmiana ta mogła być stanowczą i trwałą, zwłaszcza, że słyszymy o niej od schorowanego męża, opłakującego stratę kochanej, bądź co bądź, a unieszczęśliwionej przezeń żony. Istoty rzeczy nie zmienia to zupełnie i tylko niepotrzebnie osłabia nieco znaczenie głębokiej analizy psychicznej, zawartej w pierwszej części powieści.

Nie wyciągając z dokonanych obserwacyj tak daleko sięgających wniosków, jak stary Tołstoj w „Sonacie,“ autor odnajduje trafnie przyczyny złego, kryjące się, jak z powieści jego sądzić można, nietylko w złem wychowaniu mężczyzn i kobiet, nietylko w braku łączności duchowej między małżonkami, lecz może przedewszystkiem w podstawowym czynniku większości małżeństw dzisiejszych, którym jest u stron obu — egoizm. Tadeusz i Teresa kochają się niby, ale każde z nich dąży w tej miłości do własnego szczęścia jedynie i dlatego nie osiąga go żadne. „Nie byłem ci bratem, ale kochankiem, nie byłem człowiekiem, lecz samcem, nie zstępowałem do ciebie, ale chciałem cię złamać“ — woła przy końcu nieszczęśliwy Sieński do swej żony — i w tych wyrazach właśnie kryje się streszczenie wyrzutów, które gryźć muszą jego duszę na myśl o życiu zmarnowanem. Za późno przyszedł do wniosku, że w żonie widzieć należy nietylko kochankę lub samicę, ale także przyjaciółkę i siostrę. Niewielką chyba pociechę mogłaby dla niego stanowić myśl, że nie on sam tu był winien — więc jej mu autor nie daje.

Wiele trafnych spostrzeżeń i szczegółów, nad którymi tutaj zatrzymywać się już nie możemy, wiele uwag i rozmyślań, sięgających dosyć głęboko, niekiedy nawet do samego jądra stosunków, panujących między mężczyzną a kobietą w małżeństwie dzisiejszem, nadaje powieści p. Pileckiego wyjątkowy charakter poważnego studyum psychologiczno-społecznego, które z wielu względów bliżej poznać warto.

Władysław Bukowiński.

Dr. Wiktor Hahn. *Tło historyczne w Irydyonie Krasińskiego.* Lwów, Gubrynowicz i Szmidt, 1898, str. 58.

Wiadomo już było dawniej, że Krasiński w r. 1830 rozczytywał się w słynnem dziele Gibbona o upadku państwa rzymskiego, że w r. 1832, bawiąc w Petersburgu wpadł na pomysł „Irydyona,“ że napisał był nawet „połowę“ utworu, lecz ją podarł w Warszawie, „bo nędzną była,“ że przez cały rok potem, myśl o poemacie nie dawała mu spokoju, chodziła mu po głowie, nabierała mocy. Podczas pobytu w Rzymie r. 1833 zobaczył poeta swego Irydyona „chodzącego po forum“ i już go nie tworzył, obserwował tylko i obiecywał, że „przez wdzięczność“ nie da mu zaginąć. Jakoż w r. 1836 ogłosił swój dramat w Paryżu.

Dr. Hahn, wychowaniec uniwersytetu lwowskiego, znany z kilku rozpraw, wykazujących gruntownie „genezę“ różnych utworów, zarówno z XVI, jak XIX wieku, przedsięwziął wykazać szczegółowo, skąd brał Krasiński swą wiedzę dziejową o Heliogabalu i państwie rzymskiem w początkach III stulecia ery naszej, tj. chwili, w której rozgrywa się dramat. Wynikiem skrzętnych poszukiwań było, że wiedzę tę zawdzięczał dwu głównie pisarzom francuskim: Chaussardowi i Crevierowi. Pierwszy z nich, w formie na pół powieściowej, lecz ze źródłową znajomością rzeczy, opisał czasy Heliogabala w obszernej księdze, wydanej r. 1802 p. t. „Héliogabale, ou esquisse morale de la dissolution romaine sous les empereurs.“ Drugi zaś jest autorem 12-tomowej Historyi cesarzów rzymskich, gdzie o Heliogabalu mówi w tomie 9-ym na 77 stronicach.

Zestawienia, porobione przez d-ra Hahna, przekonywają istotnie, że przypiski do „Irydyona,“ oraz niektóre szczegóły w samym tekście opierają się na wiadomościach, podanych przez owych dwu autorów, że zatem można przytoczone dzieła uważać za główne — lecz oczywiście nie wyłączne źródła wiedzy rozwiniętej przez Krasińskiego w tym utworze. Obok nich mniejsze już znaczenie posiada wpływ Gibbona, skąd poeta nasz czerpał informacye co do wyobrażeń chrześcian III wieku o rychłem ponownem, zwycięzkiem przyjściu Chrystusa, jak również wpływ Ferriere'a, a właściwie Samuela Bacha, autora zbioru nowel p. t. „Il vivero“ (Paryż 1830), gdzie znajduje się rzecz o Heliogabalu i bóstwach czczonych w Emezie, skąd późniejszy cesarz rzymski pochodził. Drobnemi wreszcie nazwać można reminiscencye z „Męczenników“ Chateaubrianda, „Fausta“ Goethego i „Kwentyna Durwarda“ Walter-Scotta. Świadczą one tylko o echowym wpływie czytania, lecz do rdzenia pomysłu poetyckiego nie wchodzą. Z nazwisk, wprowadzonych przez Krasińskiego, nie zdołano dotychczas wyjaśnić pochodzenia Irydyona i Elsynoi.

Autor rozprawy zastrzega się przeciwko zarzutowi, jakoby dochodzeniami swojemi chciał obniżyć cechę oryginalności roztrząsanego utworu; dążeniem bowiem jego było stwierdzenie wierności kolorytu dziejowego w „Irydyonie.“ Kończy on swój rozbiór zapewnieniem, że „obok erudycyi zadziwiającej, obejmującej wszystkie obszary świata starożytnego, uderzać nas zawsze będzie w Irydyonie śmiały i świetny pomysł, olśniewające i niewyczerpane bogactwo myśli, a przytem koloryt barwny i tak zgodny z rzeczywistością, że mu trudno dorównać.“

P. Chmielowski.

POEZYE

SERYA IV.

I.

ZACZAROWANY LAS.

Zaczarowany las — pomiędzy drzewa
Elf biały mignie i w cień przewiewa;
Oczy potworów z zielonej głębiny
Jak karbunkuły świecą i rubiny.
A na wierzchołku rozbujałych drzew
Zrywa się, milknie dziwny, ostry śpiew.

W gąszczu pełzają olbrzymie połozy
I szklistą skórą pod słońce migocą:
Błękitne węże na srebrzyste brzozy
Skrętem się winą i wzrokiem się złocą.
A na wierzchołku rozbujałych drzew
Zrywa się, milknie dziwny, ostry śpiew.

Rozpar słoneczny wydobywa z kwiatów
Ogień śmiertelnie silnych aromatów,
Z zabójczą mocą odurzają głowę
Potworne kwiaty sine i pąsowe.
A na wierzchołku rozbujałych drzew
Zrywa się, milknie dziwny, ostry śpiew.

Tam dusza moja przed swych oczu męką
Szalona smutkiem z wiru życia bieży
I konwulsyjnie wzrok zakrywszy ręką
W gorączce, w wizyach, w półobłędzie leży,
Aż z rozbujałych obudzi ją drzew
Ten dziwny, ostry, jak krzyk orli, śpiew.

II.

SŁUP.

Wśród huku wód, wśród fal zamieci,
Gdzieś u wybrzeży morza
Ze spiżu stoi słup;
Na nim latarnia morska świeci,
A jej szeroka, jasna zorza
Rozświetla statkom nocy grób.

O słup ten wściekle bije morze,
Wali się nań nawałą,
Wyrwać go z głębi swojej chce;
Wściekają je te nocne zorze,
Tyle by statków pochłaniało,
A słup ten światłem chroni je.

Fale na fale coraz nowe
Na słup się rwą i tłoczą,
Gwałtem go zwalić, pragną, zmóc;
Ze spiżu słup — ma dumną głowę —
Lecz jeśli padnie: nad roztoczą
Będzie noc jedna, straszna noc.

Kaz. Przerwa-Tetmajer.

SPRAWY EKONOMICZNE

POŁOŻENIE ROBOTNIC W GALICYI.

I. *Kraków.*

Na wzór ankiety, przeprowadzonej przed rokiem w Wiedniu, zasiada obecnie w Lwowie komitet, któremu udało się już przesłuchać około 50 ekspertek z rozmaitych warstw przemysłowych. Sprawa ta prowadzona jest w następujący sposób: Komitet zbiera się w oznaczonej porze i miejscu, przy pomocy zgóry ułożonego kwestyonaryusza bada zgłaszające się ekspertki-robotnice co do warunków zarówno ich pracy i życia, jako też innych kobiet, zajętych w zawodzie. Stenografowane protokóły stanowią niejako fotograficzne zdjęcia tych zeznań,

które służyć mogą za dokument naukowy. Nie zauważyliśmy dotąd zeznań kłamliwych, sprzecznych, ani nawet przesadnych; owszem, robotnice starają się mówić całą prawdę i szczerze odsłaniają niekiedy drastyczne szczegóły swego losu. Ankieta podjętą została przez koła konserwatywne, na czele jej stoi prof. dr. Tadeusz Pilat, a należą bez różnicy przekonań wszyscy profesorowie nauk ekonomicznych, inspektor przemysłowy p. Nawratil, mnóstwo pań, zajmujących się stowarzyszeniami dobroczynnemi; słowem, inteligencyi i dobrych chęci nie brak. Nie wzięły jednak udziału stowarzyszenia zawodowe, którym przy urządzaniu nie pozostawiono czasu na porozumienie się z robotnicami. Ta okoliczność oraz fakt oporności, jaką napotyka wszelka akcya między robotnicami, czyni wątpliwem, czy ankieta zdobędzie pełny obraz stosunków. Należy się jednak wdzięczność jej inicyatorom nawet za to, czego dowiedzieliśmy się dotąd. Ciężka walka o byt, w której jako szermierze występują młodziutkie dziewczęta, matki obarczone dziećmi, dla inteligencyi była całkiem nieznaną krainą, a jednak tak bliską. Jako uczestniczka ankiety, poczuwam się do obowiązku udzielenia jej rezultatów szerszemu kołu, gdyż zainteresować one powinny czytelników *Prawdy*.

Przesunęły się tedy przed oczyma naszemi bieliźniarki, szwaczki, hafciarki, rękawiczniczki, prasowaczki, praczki, pomocnice mularskie, drukarki, litografki, introligatorki. Czekamy na inne, bo mnóstwo zawodów pozostaje do zbadania.

Najgorzej może wynagradzane są wszelkie zawody, odnoszące się do szycia. Nawet lepiej płatnej *szwaczce* trudno się z zarobku utrzymać, gdyż zaledwie dla krojczyń dochodzi on od 12—20 złr. miesięcznie, zaczyna się zaśwzwykle od 2 złr., przeciętnie wynosi 3½—4. Jedzenia nie dają, czasem tylko na podwieczorek lub kolacyę szklankę czystej herbaty. Aby łatwiej znaleźć zajęcie, wiele szwaczek łączy umiejętność roboty sukien i szycia bielizny, ale rzadko która umie krajać. Krój jest tajemnicą, której kierowniczki nie zdradzają bez oddzielnej opłaty. Wynosi ona we Lwowie 10 złr., niewiele, ale i na tę sumę mało która z robotnic zdobyć się może. Praca w krawiectwie trwa zwykle 10½—11 godzin, w „sezonie" jednak ciągnie się o wiele dłużej. Niekiedy pracownice pozostają przez noc całą i to bez dopłaty, nawet bez kolacyi, przedłużanie roboty do 9 lub 10 wieczorem jest w tym okresie objawem zwykłym. Form takich, jak 14-dniowe wypowiedzenie roboty, przyjętych ogólnie w rzemiosłach, magazyny lwowskie zwykle nie zachowują, nie ubezpieczają również robotnic swoich w kasach dla chorych. Za zepsuty materyał, za dni opuszczone, chociażby z powodu choroby, strącają i wogóle nie troszczą się o to, co panna robi po za pracownią. Robotnice nie skarżą się jednak na wyzysk, pani pracuje wraz z niemi, nauczyć się mogą wiele, uważają tedy czas przebywania w pracowni za okres przejściowy, po którym przechodzą w szeregi t. zw. panien do szycia po domach.

Tym dzieje się już nieco lepiej: najmując się po domach, otrzymują wikt całodzienny i 50—60 ct. Z dawnych panien tworzą się również nowe przedsiębiorczynie i właśnie w ten sposób powstaje duża liczba pracowni, z których żadna do wielkich rozmiarów dojść nie może. Pomiędzy ekspertkami z zakresu krawieczyzny jedna zaledwie była czynna w pracowni zatrudniającej 23 panien i związanej ze sklepem gotowego ubrania.

Nieco lepszem jest położenie *białego szycia*, choć i to opłaca się dziś we Lwowie o wiele gorzej, niż przed laty 20. Pracownie lwowskie współzawodniczą z Wiedniem, skąd sprowadzane są więcej eleganckie, gotowe koszule, nawet wyprane i wyprasowane. Inną bieliznę sklepy dają pracownicom, którym nie wolno po za tem przyjmować żadnej roboty, gdyż zamówienia wykończone być muszą z jednego dnia na drugi. Wprawna robotnica wraz z pomocnicą otrzymać może 1,80 złr. Częściej jednak robotę dzielą na poszczególne funkcye, a wtedy płacą za 12 godzin od 5—15 złr. na miesiąc. W szpitalach i zakładach filantropijnych czas pracy jest krótszy, ale płace nie wyższe: małe dziewczynki, zajęte do 9 godzin dziennie, pobierają po 4, a nawet 2 złr. miesięcznie.

Przedsiębiorstwa, trudniące się białem szyciem, przyjmują również i haft, posiadając *hafciarki* na miejscu, lub oddając robotę do domu. Pierwsze pobierają od 8 do 15 złr. miesięcznie, drugie płatne są od sztuki i dostają zwykle 6 ct., gdy pracownia bierze 10. Zajęcie trwa w niektórych pracowniach po 12 godzin, często w małym pokoju, a wieczorami przy niejasnej lampie. Hafciarstwo uważa się przecież za zawód zyskowniejszy od szycia i z tego powodu przymusowych przerw w pracy, która ustaje po sezonie, używają na uczenie się haftu. Barwnych haftów robotnice lwowskie nie wykonywają, bo te potrzebne są głównie dla kościołów, które wolą zaopatrywać się w Wiedniu.

Za arystokracyę pewnego rodzaju uważają się modniarki. Robota ich lekka, często połączona z obsługiwaniem, kundmanek w sklepie. Ale i tu warunki nie są lżejsze: rok pracuje się darmo, pierwszą płacę stanowi 2 złr., potem trudno dojść wyżej, niż do 10 złr. miesięcznie i to za 10½ godzin dziennej pracy.

Wymienione tu robotnice miały dużo cech pokrewnych: po większej części były to młode dziewczęta, które wstąpiły do zakładu w 13 lub 14 roku, mieszkały u rodziców rzemieślników lub woźnych i w ten tylko sposób mogły wyżyć. Tajemnicę tej egzystencyi i tak przecież trudno zrozumieć. Rodzina, z 6 osób złożona, ma np. 24 złr., przyczem za mieszkanie płaci 8 lub 9. To jest wypadek względnej zamożności. Z 12 złr. musiała się nieraz utrzymywać matka z córką. Przytem starają się nie zdradzać ze swojem ubóstwem: większość ubrana była z pewną elegancyą. Szyk taki osiąga się w prosty sposób: materyały bierze rodzina na wypłatę, panienka sobie i swoim szyje nocami, czasem obłatać jeszcze trzeba i młodsze dzieci, czasem pomódz ojcu, który jest gdzieś stróżem lub woźnym. Dzienny wikt (jak się wyrażają we Lwowie) składa się z kawałka suchego chleba na śniadanie, z obiadu bez mięsa, to bowiem w bardzo skąpej ilości pojawia się nie częściej, niż trzy, dwa, a nawet raz na tydzień. Na kolacyę wszędzie jedzą, co zostanie z obiadu. O przyjemnościach, o czytaniu, o należeniu do towarzystw niema zwykle mowy: jedyną rozrywką i karmą dla ducha jest kościół, czasem pożyczone przez kogoś żywoty świętych lub „straszne" powieści. A przecież każda z tych pracownic ma po za sobą 4—5 klas szkolnych; wyrażają się poprawnie, są ogładzone, uprzejme. Polor zewnętrzny, to już chyba wrodzona każdej polskiej dziewczynie właściwość, która nie zatraca się nawet w tej nędzy i pracy.

Pracownice z zawodów związanych z przygotowywaniem pism i książek więcej wykazują cech wspólnych z robotnicami na Zachodzie. Płace tu nieco wyższe, a więc i samodzielność większa; zgóry zastrzegają, że zawody ich są pomyślniejsze, niż szycie. Robota trwa rok cały, choć, w drukarniach np., zależną jest od sezonu; wypłata dokonywa się co dwa tygodnie. Stosunek z mężczyznami, którzy występują jako koledzy i pryncypałowie, uczynił te dziewczęta śmielszemi i odporniejszemi, a przebywanie wśród różnych kategoryj robotników zaostrzyło ich uwagę na specyalne warunki bytu robotniczego. Przejdźmy do poszczególnych zawodów.

W drukarniach kobiety pracują jako nakładaczki na maszyny i maszynistki. Jedno i drugie zajęcie nie jest lekkie, gdyż pierwsze wymaga ciągłego stania, drugie często podnoszenia ciężarów. Przytem wytwarza się pył, opadający na płuca, który powoduje chrypki. Zecerzy pracują w oddzielnych izbach, czasem na innem piętrze i o ile panny są taktowne, stosunek z nimi bywa dobry. Zawdzięczać to należy zapewne i tej okoliczności, że zecerzy są zwykle ludźmi dość inteligentnymi, na których zetknięcie z drukowanem słowem pozostawiło już pewną ogładę. Wszystkie za to uskarżają się na grubiaństwa, niegrzeczności i wyzysk parobków, zajętych przy maszynach. Ludzie ci starają się pozostawić kobietom robotę nalepiania, wymyślają przy każdej sposobności, pryncypał zaś nie zwraca na to uwagi. Nauka w drukarniach trwa krótko, od dwóch do czterech tygodni. Pierwsza płaca wynosiła przed kilku laty 4 złr. miesięcznie. Teraz napływ dziewcząt jest tak wielki, że płacę obniżono, zwłaszcza iż pracują niekiedy 12, a nawet 13-letnie dzieci. Po roku już można dojść do 10 złr. miesięcznie, na co w krawiectwie trzeba czekać często lat pięć lub więcej. Ekspertki zarobki swoje podawały na 13—18 złr. Praca trwa 10½ godzin, ale przerywa ją pauza obiadowa. Często jednak zdarzają się godziny dodatkowe, liczone, zależnie od drukarni, po 20, 10, 5, a nawet po 3 centy. Z soboty na niedzielę w drukarniach tłoczących dzienniki, pracować muszą do g. 5 lub 6 w nocy, za co wypada po 50—60 ct. Ekspertki były to młode dziewczęta od 18—20 lat, ale już z doświadczenia własnego opowiadały o pracy, trwającej bez przerwy 36 godzin. Potem następowała noc, w której można było powrócić do domu —i znowu 36 godzin pracy. Gdzie w święta wychodzą dzienniki, nie istnieje właściwie odpoczynek niedzielny, gdyż robić trzeba 2 godziny z rana i 2 wieczorem.

Przedsiębiorcy drukarscy ubezpieczają swoje robotnice, przyczem według ogólnej normy pracownica płaci 2 ct. od guldena, a przedsiębiorca 1. Podczas choroby, trwającej dłużej niż trzy dni, oprócz lekarza i apteki robotnica ma prawo do wsparcia, wynoszącego dziennie sumę opłacaną co miesiąc. Regulamin drukarni jest ostry: za spóźnienie, które szwaczki odsiadują wieczorem, drukarki płacić muszą kary 10—20 ct., za zepsuty papier lub uszkodzoną maszynę trzeba również wynagrodzić, poczem następuje wydalenie.

Warunki domowe drukarek podobne są do warunków szwaczek, tylko dzięki wyższej płacy mięso częściej pojawiać się może na stole.

Nieco lepiej uposażone są litografki, zajęte w dwu pracowniach. Obowiązkiem ich jest przy maszynie nakładać, brązować, federweisować, przyczem pył szkodzi na piersi. Za pracę 8 godzin dziennie ekspertka pobiera 18 złr. miesięcznie, inne od 8—12. Gdy zdarzają się godziny dodatkowe, płaca zwiększa się o 15 ct.; nocą jednak nie pracują, bo nie zachodzi nigdy potrzeba. Pomimo tych względnie niezłych warunków zarobkowych, ekspertka gorzko się uskarża na los, gdyż troje dzieci jest na jej opiece; mąż murarz nie zarabia w zimie ani centa.

Do pracy introligatorskiej jest wielki natłok, gdyż pomimo bardzo ciężkich warunków, zarobek jest tu dość wysoki, dochodzi do 3½, a nawet 4 złr. tygodniowo, nauka zaś trwa zaledwie dwa tygodnie. Zajęcie introligatorek polega na składaniu arkuszów, szyciu książek i obcinaniu brzegów. Robota dla mniej wprawnych wydaje się bardzo ciężką, gdyż nogą trze-

ba poruszać maszynę, a rękami nakładać arkusze. Wprawniejsze skarżą się głównie na złe obchodzenie ze strony majstrów, na szorowanie stołów, kontrolę, która zakazuje rozmowy, nie pozwala zjeść przyniesionego śniadania, ani ruszyć się bez pozwolenia majstra. Dziwić się należy, że tu, jak i w innych zawodach, najmniej skarg było na długą pracę, a przecież 11 godzin dla dziewcząt od lat 15 do 17, to chyba ciężar nielada. W razie pilnych obstalunków robotnice pozostawały do g. 9, a nawet 10 w nocy, w niedzielę zaś do 1-ej po południu bez dodatkowej opłaty. Za popsucie materyału pryncypał odliczał kary i natychmiast wydalał, za spóźnienie również karano. Najgorszem w tych wszystkich zajęciach jest to, że dziewczęta nigdy dojść nie mogą do pracy lepiej płatnej, przeznaczonej wyłącznie dla mężczyzn, skazane są tedy na drugorzędne stanowiska, jakkolwiek twierdzą, że pracują więcej od mężczyzn.

Najniższą kategoryę stanowiły pomocnice mularskie. Zdarzają się tu wszelkie rodzaje kobiet, od 13-letnich dziewcząt do trzydziestokilkoletnich mężatek, a wszystkie pracują jednakowo. Jako pomoc, mają one obowiązek podawać mularzowi, co zażąda: kielnię, wodę, cement i nosić wapno 75—100 z górą szaflików dziennie, od fundamentów aż po trzecie piętro. Za tę ciężką 10-godzinną pracę dostają 40—55 centów, a niepewność zarobku jest tak wielką, że mularka codziennie może być wydaloną. Przyczyną tego jest głównie konkurencya ze strony wieśniaczek, które na placu oczekują werbujących majstrów i godzą się za niższą cenę. Ekspertki skarżą się na niesłychane grubiaństwo ze strony podmajstrów i robotników, opowiadają o fatalnych stosunkach moralnych, które wynikają ze spania w jednym baraku, a niekiedy są dowodem uległości z obawy utraty miejsca. Przesłuchanie ich było prawdziwie tragicznem, bo opowiadające, nie mogły powstrzymać łez. Zima bez zarobku, dzieci pozostawione w lecie na opiece sąsiadek lub oddawane na mamki, długi lichwiarskie (od 3 złr. np. płacić muszą po 20 ct. na tydzień), wszystko to składa się na ponury obraz, którego nie rozświetlało nawet uprzejme traktowanie ze strony kolegów i przedsiębiorców.

Oto w głównych rysach obraz położenia przesłuchanych dotąd robotnic. Z ogólnymi wnioskami wstrzymuję się aż do końca ankiety, kiedy materyał urośnie.

Dr. Zofia Daszyńska.

W DALI.

Łódź. Kelnerzy miejscowi zakładają stowarzyszenie wzajemnej pomocy. Ustawę, wzorowaną na podobnej instytucyi w Rydze, przesłano do zatwierdzenia władzy. Celem stowarzyszenia będzie: 1) niesienie pomocy członkom na wypadek choroby; 2) udzielanie zapomóg na koszty pogrzebu zmarłego członka stowarzyszenia; 3) wydawanie wsparć miesięcznych wdowom po członkach; 4) rekomendowanie posady kelnerów; 5) urządzenie kasy wzajemnej pomocy; 6) egzaminowanie kandydatów na kelnerów z pisania i rachunkowości; 7) utrzymanie prawości i zgody wśród służby restauracyjnej oraz przestrzeganie rzetelnego i sumiennego pełnienia włożonych na nią obowiązków. Do stowarzyszenia należeć mogą wszyscy pełniący służbę w restauracyach, jako to: kelnerzy, kucharze i szwajcarzy. Stowarzyszenie składać się będzie z członków rzeczywistych i honorowych bez różnicy wyznań od lat 16 do 50, z wyjątkiem żydów. Członkowie honorowi opłacać będą wpisowego rs. 5 i każdomiesięcznie po 25 kop., lub też jednorazowo najmniej rs. 5; członkowie rzeczywiści po rs. 1 wpisowego i miesięcznie po kop. 25. Przyjmowanie członków odbywać się będzie za pomocą balotowania. Inicyatorami stowarzyszenia są trzej kelnerzy miejscowi. — *Rozwój* zamieścił następującą uwagę: „W najpryncypalniejszej części naszego miasta od niedawnego czasu kłuje oczy przechodniów potężny szyld, nad filią składu pewnej firmy, z nadpisem: „Filiale d. B.-woll Manufaktur von..." Na polski znak nie znalazło się ani kęsa miejsca... a jednak... i „Haupt-Niederlage" i „Filiale" i każda cegła, tysiące ludzi zajmującego „Geszeftu," jego oddziałów i pododdziałów i każdy grosz, wpływający do potężnej dziś kasy „d. B.-woll Manufaktur," wytworzone były na naszej ziemi i przez naszego chłopa! Taki sam hakatystyczny, jak w szyldzie, prąd wieje podobno dziś i w rekrutowaniu arystokracyi personelu tego „Geszeftu." Smutne to nad wyraz! A jednak w tym starym „Geszefcie" są ludzie, od których społeczeństwo nasze ma prawo żądać, jeśli nie poszanowania, to przynajmniej nie ignorowania jego języka."

Będzin. *Wiek* podaje szczegóły, wymownie charakteryzujące pewną kategoryę zjawisk ekonomicznych na prowincyi: Aresztowano i osadzono w więzieniu Arona Mendla Szustra, który od lat dwudziestu utrzymywał potajemnie lombard i zajmował się lichwą. Znaleziono u niego zastawów, złożonych przeważnie ze złota, srebra i drogich kamieni na sumę 10,000 rs. i weksli na 14,000 rs. Weksle pochodziły przeważnie od okolicznych włościan, od których Szuster pobierał 200% rocznie. Kosztowności i dokumenty znajdują się u sędziego śledczego, M. Lewkowicza, prowadzącego śledztwo.

Petersburg. Zarządzający stacyą meteorologiczno-rolniczo-gospodarczą Towarzystwa rolniczego w Moskwie, zebrał następujące dane o stanie zasiewów i traw z 13 maja. Szczegółów dostarczyło około 4,000 korespondentów, a dotyczą one gubernij: Moskiewskiej, Twerskiej, Tulskiej, Penzeńskiej, Simbirskiej, Samarskiej, Smoleńskiej, Riazańskiej, Woroneskiej, Tambowskiej, Saratowskiej, Grodzieńskiej, Kowieńskiej, Wileńskiej, Mińskiej, Suwalskiej, Wołyńskiej, Nadbałtyckich i Królestwa Polskiego. W większości powiatów powyższych gubernij wschody ozimin żyta zadawalające, w niektórych stosunkowo nielicznych miejscowościach żyto ozime nawet w dobrym stanie. Niezadawalające wschody żyta w następujących powiatach: Bogorodzkim, Bronnickim, Buskim, Sierpuchowskim gub. Moskiewskiej, Wyszniewołodzkim g. Twerskiej, Niżnietomowskim gub. Penzeńskiej. W pow. Bniñskim gub. Symbirskiej żyto miejscami bardzo liche, w pow. Korsuńskim miejscami niezadawalające; również w pow. Bugurusłańskim gub. Samarskiej, Jegorjewskim, Zarajskim, Kocimowskim, Szawelskim, Wiłkomirskim, Spasskim, miejscami Prońskim gub. Riazańskiej, Bieczczyńskim, gdzie miejscami przepadły; w Buguczarskim, żyto niezadawalające. Nie udało się ono miejscami w pow. Kozłowskim gub. Tambowskiej, niezadawalające w pow. Kamyszyńskim gub. Saratowskiej i Telszewskim gub. Kowieńskiej. W pow. Święciańskim gub. Wileńskiej niezadawalające, a miejscami przepadło w pow. Garwolińskim gub. Siedleckiej. Niezadawalające w pow. Owruckim, miejscami bardzo liche w Włodzimiersko-Wołyńskim. Niezadawalające w pow. Płockim, Ciechanowskim gub. Płockiej, Nowomińskim gub. Warszawskiej. Stan wschodów pszenicy ozimej, z wyjątkiem Królestwa Polskiego, gdzie miejscami pszenica lepsza od żyta, prawie wszędzie nieco gorszy, niż żyta ozimego. W gub. Wschodnich trawy jeszcze niepewne, na Zachodzie w wielu miejscach w niezbyt zadawalającym stanie.

KRONIKA.

Nowy organ władzy. Postanowiono utworzyć przy general-gubernatorze warszawskim radę (*sowieszczanje*) na zasadach następujących: 1) Jest ona instytucyą, która nie tykając strony wykonawczej, roztrząsa sprawy, przekazywane przez general-gubernatora do jej rozważenia. Rada pod prezydencyą general-gubernatora składa się z osób następujących: pomocnika general-gubernatora w zarządzie policyjnym, gubernatora warszawskiego i innych, gubernatorów kraju, gdy ci znajdują się w Warszawie, oraz miejscowych: kuratora okręgu naukowego, starszego prezesa izby sądowej, prokuratora izby sądowej warszawskiej, prezesa komitetu cenzury, naczelnika sztabu okręgu wojennego, zarządzającego kancelaryą general-gubernatora i przedstawicieli ministeryów skarbu oraz rolnictwa i dóbr państwa, wyznaczonych przez właściwych ministrów w porozumieniu z general-gubernatorem. Oprócz osób wyżej wymienionych, z mocy rozporządzenia prezesa, do rady mogą być powoływane i inne, których wiadomości będą uznane jako pożyteczne do wyjaśnienia szczegółów roztrząsanej, sprawy. Gdy generał gubernator nie będzie miał możności prezydować w radzie osobiście, zastąpi w niej jego pomocnik. Załatwiania czynności biurowych rady porucza się kancelaryi general-gubernatora warszawskiego. Rada nie będzie się zbierała, ani obradowała peryodycznie, lecz tylko w miarę potrzeby i wyłącznego uznania J. O. księcia general-gubernatora i zwoływana będzie za każdym razem oddzielnie. Pod opinię jej poddawane będą głównie sprawy, dotyczące projektów prawodawczych i związanych z niemi zmian administracyjnych, wprowadzanych w Królestwie Polskim. Inne osoby, oprócz przedstawicieli władz, powoływane do rady z mocy i z rozporządzenia prezesa jej, jako uznane za pożyteczne do wyjaśnienia szczegółów roztrząsanej sprawy — będą miały jedynie charakter biegłych, których zdanie może się przyczynić do oświetlenia danej sprawy. Przedstawiciele ministeryów skarbu i rolnictwa, mający uczestniczyć w radzie, podani są do zatwierdzenia właściwych ministeryów. Będą nimi: zarządzający izbą skarbową warszawską i zarządzający dobrami państwa w gub. Warszawskiej, Piotrkowskiej, Kaliskiej i Płockiej. Sprawy rady ma referować nowy wydział kancelaryi general-gubernatora, pozostający pod bezpośrednim kierunkiem jej naczelnika, a złożony z kilku nowych urzędników, dla których ustanowione będą etaty z przeznaczonej na zasilenie funduszów kancelaryi general-gubernatora warszawskiego sumy rs. 7,800. Posiedzenia rady odbywać się mają w Zamku.

Szkoły. W okręgu naukowym moskiewskim nauczycieli gimnazyów mają mianować nadal dyrektorowie. Dotychczas zależało to wyłącznie od kuratora.

— Z mocy wydanego w r. 1896-ym rozporządzenia, zabroniono Żydom, nieposiadającym prawa samoistnego pobytu w Moskwie, wstępować do uniwersytetu tamecznego. Obecnie ministeryum oświaty w porozumieniu z ministeryum spraw wewnętrznych orzekło, że nie wolno ich również przyjmować do średnich zakładów naukowych w Moskwie.

— Politechnika w Rydze zamierza znacznie rozszerzyć wydział rolniczy. W tym celu postanowiono wyjednać ofiarowanie części lasu skarbowego w gub. Kurlandzkiej, dla urządzenia tam gospodarstwa leśnego.

— W instytutach politechnicznych — kijowskim i warszawskim, ma być w urządzeniu personelu nauczycielskiego stosowana zasada wyborcza, która dawniej obowiązywała w uniwersytetach. (*Grażdanin*.)

— Według gazety *Jug*, zmarły niedawno w Warszawie właściciel dóbr Ulianin, pan W. Narwojsz, zapisał rs. 150,000 na założenie w Złotopolu szkoły rolniczej dla uczniów bez różnicy wyznania.

Prasa. *Prawit. Wiest.* ogłasza: „*Peterb. Wied.* wydrukowały list otwarty prezesa powiatowego ziemskiego w Bogorodicku, hr. Bobrinskiego, do gubernatora tulskiego, zawierający oskarżenie publiczne o niewłaściwą działalność służbową. Zważywszy czyn tego rodzaju, oraz okoliczność, że gubernator, jako wyższy przedstawiciel władzy, nie może gwoli wyjaśnieniu czynności swoich wchodzić w polemikę dziennikarską z urzędnikami podwładnymi, o czem redakcya powinna wiedzieć — p. minister spraw wewnętrznych postanowił zabronić sprzedaży numerów oddzielnych gazety *Peterburgskija Wiedomosti*."

Dobroczynność. Anna Stopczykowa, zmarła w Warszawie 8 b. m., poczyniła zapisy publiczne, największe na kościoły. Po zatem przeznaczyła: na wpisy dla niezamożnych uczniów gimnazyalnych

wyznania katolickiego w Warszawie, rs. 200, na szpital praski rs. 200, dla ochrony na Pradze (VII) rs. 200.

— Zatwierdzono dwa stypendya im. ks. Aloizego Szczepańskiego dla uczenic katoliczek gimnazyum żeńskiego w Kamieńcu Podolskim. Stypendyum tworzy się z procentów od kapitału (8049 rs.) w 4% rencie państwowej. Stypendystki wybierane są przez wykonawców testamentu: proboszcza kościoła katedralnego w Kamieńcu, ks. Dziędzika, oraz szlachty: Kazimierza Chorobkowskiego, Adolfa Baczyńskiego i Cypryana Tynowskiego, po ich zaś zgonie decydować będzie nauczyciel religii katolickiej gimnazyum żeńskiego.

Zdrowie publiczne. Postanowiono zbudować szpital okręgowy dla obłąkanych w dobrach skarbowych Rakanciszki, pow. Wileńskim, w pobliżu stacyi Wilejka kolei Petersburskiej. Zakład ten ma posiadać tysiąc łóżek.

Konkurs. Komitet budowy nowego kościoła katolickiego w Łodzi ogłosił konkurs na sporządzenie planów architektonicznych. Postanowiono trzy nagrody: pierwsza wynosi rs. 1,250, druga 750, trzecia 500. Dopuszczono także budowniczych zagranicznych.

Teatr. Trupy wędrowne już osiadły w teatrzykach letnich i rozpoczęły widowiska: w gmachu cyrkowym, „Odeonie" (Belle-Vue) i Wodewilu.

Wystawy i zjazdy. W Krakowie otwarto wystawę haftów włościańskich z Makowa i okolic. Są to okazy prac makowskiej szkoły hafciarskiej, liczącej 30 uczenic, oraz spółki hafciarek miejscowych.

— W salach redutowych otwarto wystawę „retrospektywną" malarzów polskich na dochód Towarzystwa przeciwżebraczego.

Koleje i komunikacye. Według nowych przepisów, telegrafistkom nie należy poruczać rozporządzeń co do przyjmowania, wysyłania i manewrowania pociągów. Nowomianowani majstrowie dróg i mostów, maszyniści, naczelnicy stacyj i ich pomocnicy, sygnaliści, telegrafiści i główni konduktorowie przed objęciem posad powinni zdawać egzaminy ze swoich specyalności.

Zmarli. Bogumił Aspis, poeta, we Włocławku.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 15 Мая 1898 г.

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa ul Mazowiecka, Nr. 8.